

Eileen Wilks
Ścigana

scandalous

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Chicago jest nazywane Wietrznym Miastem, zarówno ze względu na klimat, jak i dynamikę zachodzących tam wydarzeń. Charlotte Masters odczuła jedno i drugie na własnej skórze, gdy znowu próbowano ją zabić.

Przynajmniej zdawało jej się, że ktoś chciał ją zamordować. Tak sądziła, leżąc na masce jednego z zaparkowanych samochodów, podczas gdy biodro i noga bolały ją mocno, a serce tłukło się w piersi z przerażenia. Płaszcz trzepotał na wietrze.

Nie miała pewności. Być może kierowca po prostu jej nie zauważył.

- Nic się pani nie stało?

Ocknęła się i zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz wysokiego Murzyna; miał złoty kolczyk w nosie, a drugi w brwi; nosił skórzaną kurtkę, na głowie miał czapkę baseballową i wyglądało na to, że jest ogolony na łyso. Kilko innych przechodniów zatrzymało się na ruchliwym chodniku. Patrzyli na nich i wołali: „Szalony kierowca!...”, „Na pewno pijany!”, „Gdzie policja?!” i tym podobne.

Dzięki Bogu, policji w pobliżu nie było. Ostatnią rze-

czą, jakiej potrzebowała Charlotte, byłoby zainteresowanie policji.

- Nic mi nie jest! - oznajmiła donośnie. - Dziękuję panu bardzo - powiedziała do Murzyna, który próbował jej pomóc. - Zebrała się w sobie i zsunęła z maski samochodu. Nie stała pewnie na nogach, ale, analizując ból, doszła do wniosku, że nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. W końcu ten nieznany kierowca nie zdołał jej przejechać. Uratował ją wiatr.

Przechodziła przez ulicę - normalnie, na zielonym świetle. Zawsze przechodziła prawidłowo. Dwie przecznice wcześniej skończyła jeść obwarzanek, a papierową torebkę chciała wyrzucić do najbliższego kosza. Nagle podmuch wiatru wyrwał jej torebkę z ręki. Odruchowo odwróciła się, żeby ją podnieść i nie śmiecić... i wtedy zobaczyła samochód.

Pędził wprost na nią, mimo że dla kierowcy paliło się czerwone światło. W ułamku sekundy, od momentu kiedy zauważyła samochód, do chwili gdy uskakiwała w bok, wydawało jej się, że nawet przyspieszył. Udało jej się umknąć śmierci.

Może jej myślenie było paranoiczne - ale niekoniecznie. A jeśli naprawdę ktoś wydał polecenie zamordowania jej?

- Na pewno nic się pani stało? - upewnił się jeszcze ten z kolczykami. Jakaś zwalista kobieta radziła, żeby zawiadomić policję. Inna mówiła, żeby Charlotte pojechała do szpitala. Ktoś doradzał udanie się do prawnika. Po co

właściwie? Tego nie powiedział. Sprawdziła jeszcze raz, że na pewno nic jej nie jest - podarła tylko rajstopy, 4,95 za parę, cholera! No i skaleczyła się płytko w nogę.

Oparła dłoń na brzuchu. Dziecko poruszyło się. Zatem wszystko było w porządku. Odetchnęła z ulgą.

Zaraz - gdzie plecak? Boże, przecież nie mogła zgubić plecaka! Przykłękała i zobaczyła, że leży pod samochodem. Wyciągnęła go drżącymi rękami.

- Chce pani, to zadzwonię po kogoś, żeby po panią przyjechał - mówił troskliwy Murzyn.

- Dziękuję panu, nie trzeba. - Stała z plecakiem na ramieniu, ale na niepewnych nogach. Cała była roztrzęsiona.

Bo i wypadek był naprawdę groźny.

- Niech pani lepiej chwilę posiedzi - ciągnął zakolczykowany kibic baseballa. - Jest pani bardzo blada. I krew pani leci.

Zirytowała się. Nie znosiła, żeby ktoś się nią zajmował.

- Mam taką jasną cerę! - burknęła. - Przemyję sobie skaleczenie w pracy i przyklepię plaster.

- A daleko ma pani do pracy?

- Tutaj zaraz. Pracuję w „Hole-in-the-Wall”.

Człowiek w czapce popatrzył z niedowierzaniem we wskazanym przez nią kierunku. Nic dziwnego. Nazwa baru - „Hole-in-the-Wall” czyli „Dziura w ścianie” - była dobrze dobrana: bar był obskurny. Okolica, którą zaludniali niegdyś pracownicy umysłowi, obecnie szybko stawała się nieprzyjemna. Nie były to jeszcze slumsy, ale domy i ulice znajdowały się w coraz gorszym stanie, le-

żało trochę śmieci. Charlotte całe życie starała się za wszelką cenę wydostać z tego rodzaju miejsc.

- Nie nadaje się pani do pracy w takim stanie - oświadczył przemądrzały mężczyzna. Nie znosiła takich.

- Doceniam pana troskę, ale jest naprawdę zbędna.
- Ruszyła chodnikiem, kuśtykając. Miała nadzieję, że jej wykolczykowany opiekun pójdzie sobie.

Nic z tego. Dogonił ją i ciągnął swoje:

- Niech pani nie będzie taka nadęta. Nie mam zamiaru pani zaczepiać. Nie interesują mnie malutkie, smarkate i pyskate blondynki. - Pokręcił głową. - Załadnie pani mówi, jak na kobietę, która pracuje w „Hole-in-the-Wall”.

Charlotte zwróciła uwagę na przyjemny, dźwięczny, wysoki głos swojego niechcianego towarzysza.

- Czy pan może śpiewa? - spytała. Popatrzył w zdumieniu.

- Słucham?...

Westchnęła. Zazwyczaj potrafiła trzymać na wodzy swój niesforny język, ale od czasu do czasu wymykał jej się spod kontroli.

- Mnie także pan nie interesuje - powiedziała. - Nie przepadam za mężczyznami, którzy lubią wydawać wszystkim rozkazy. Ale pański głos przypomina mi tenora, w którego wykonaniu słyszałam „Nessun donna”.

- Słucha pani opery, a pracuje w „Hole-in-the-Wall”?!
- A pan zna arię z „Turandot” i robi sobie dziury w twarzy?!

- Ma pani cięty język! Dlaczego pracuje pani w tym barze?

- Za moje grzechy. - Było to prawdą. Ale Charlotte zamierzała szybko wyprostować bieg spraw. Obiecała to sobie już chyba czterdziesty raz. Uda jej się. Jakoś.

Doszli do kuchennych schodków baru. Podziękowała mężczyźnie na tyle uprzejmie, na ile było ją stać, po czym z trudem zeszła po schodkach i otworzyła drzwi.

Kuchnia była długa i wąska, pełna ludzi. Kucharz - chudy starzec, nie do końca dbający o higienę - popatrzył kwaśno na Charlotte i powiedział:

- Bierz się do roboty. Zenon jest w złym humorze.
- Skąd wiesz?
- Idź i napyskuj mu dzisiaj, jak lubisz, to zobaczysz.

Charlotte pokuśtykała do schowka, gdzie pracownicy trzymali swoje rzeczy. Faktycznie, powinna uważać na słowa. Ta praca była jej potrzebna; mimo że oznaczała zdecydowany krok w tył. Miała jednak trzy zalety. Po pierwsze - bar był tak blisko malutkiej kawalerki, którą wynajęła, że chodziła do niego piechotą. Po drugie - Zenon miał alergię na dym papierosowy, stąd w całym lokalu obowiązywał zakaz palenia. Po trzecie - nie dbał należyście o dokumenty ani przepisy; odbijało się to wprowadzie na bezpieczeństwie i higienie pracy, ale dla Charlotte miało swoje dobre strony. Nie zadzwonił bowiem nigdzie, żeby sprawdzić jej referencje - a podała fałszywe. Nie skontrolował też jej polisy ubezpieczeniowej - wpisała cudzy numer.

Człowiek, który prowadził w swoim barze zakłady bukmacherskie, powinien dbać o to, żeby jego legalne interesy wyglądały porządnie... Ściągnęła zniszczony brunatny płaszcz i powiesiła go na haku. Lepiej nie myśleć o pięknym, nowym, kremowym płaszczu, który wisiał w szafie jej starego mieszkania.

Czynsz miała opłacony do pierwszego. Nie sprzedano więc jeszcze jej rzeczy. Może da jednak radę je odzyskać?

- Spóźniłaś się - burknął zza drzwi głęboki głos. - Zmiana zaczyna się o piątej, a nie tej, o której chce ci się przyjść!

Odwróciła się na pięcie, rozzłoszczona. Zenon patrzył na nią gniewnie. Był mężczyzną o srogim wyglądzie - miał krzaczaste brwi i odznaczający się zarost.

Buzia na kłódkę! - przypomniała sobie. Sięgnęła po zakurzoną apteczkę.

- Omal nie przejechał mnie samochód - wyjaśniła.

- Spóźnienie to spóźnienie. Jak mi się to jeszcze raz powtórzy, wylatujesz stąd.

- Gdyby mnie przejechał, byłabym dużo później! - Odkręciła buteleczkę z wodą utlenioną. - Nic mi się nie stało. Dziękuję, że pan zapytał!

- Skoro ci się nic nie stało, to rusz dupę i przyjmuj zamówienia.

- Jak tylko zetnę krew. Jestem pewna, że przepisy sanitarne zabraniają krwawienia na klientów.

Przestań! - zmitygowała się. Zenon należał do tyranów, którzy nie mają szacunku dla innych twardych ludzi. Wo-

łał, kiedy się go bano. Zacisnęła usta i zaczęła przemywać długie zadrapanie na łydce.

- Może ci nie wytłumaczyłem, kiedy cię przyjmowałem. Nie znoszę stawiania mi się! Masz mówić „tak, proszę pana”, „nie, proszę pana”, „idę, proszę pana”. Rozumiesz, głupia? O co ci właściwie chodzi?! - Właściciel baru odwrócił się do Nikki, która weszła za nim. „Nikki, przez dwa «k»” - jak zaznaczyła, kiedy przedstawiała się Charlotte. Nikki była dziewczyną o sarnich oczach, blondynką - jak wszystkie inne kelnerki w barze Zenona. Wyróżniała się głupotą. Była naprawdę taka, jak blondynki z dowcipów.

- Pan Jones chce z panem porozmawiać - odezwała się, zaniepokojona. - Stolik dwunasty.

- Dlaczego nic nie mówiłaś, do cholery? A ty, pyskata paniusiu - Zenon pokazał na Charlotte grubym palcem - zaczynaj zaraz pracę. Jeśli nie będzie cię na sali za pięć minut, jesteś zwolniona.

Charlotte chciała powiedzieć: „Tak, proszę pana”, ale nie mogła. Tysiące razy mówiła te słowa poprzedniemu szefowi, sama z siebie, nie przymuszona. To dlatego, że zasługiwał na szacunek. Poczwała, że gardło jej się ścisza. Grant Connelly nie będzie się już martwił o jej szacunek. Nie po tym, co zrobiła.

Skinęła sztywno głową Zenonowi. Spojrzał na nią gniewnie i poszedł, stawiając energiczne kroki.

- Co ci się stało? - spytała Nikki, przerażona.

- Miałam po drodze mały wypadek. - Charlotte ściąga-

nęła podarte rajstopy. Zmarznie, wracając wieczorem do domu. Miała jednak większe problemy.

- Zenon się wścieka. Lepiej nałóż fartuch.
- Różowy? Nie będę nosiła różowego fartucha.
- Ale wszystkie mamy nosić fartuchy.
- Wiem. - Charlotte uśmiechnęła się. Nikki była mało inteligentna, ale miła. Ruszyły na salę.

- Pewnie się boisz, że kiedy zawiążesz fartuch, będzie widać ciążę- powiedziała Nikki po drodze. Charlotte stanęła jak wryta.

- O czym ty mówisz?

- Daj spokój. Nie odznacza się bardzo, ale troszkę tak. Poza tym zaraz zieleniejesz, kiedy Serena pali w kuchni.

Charlotte uspokoiła oddech, ale nie była w stanie spojrzeć koleżance w oczy.

- Zenon jest uczulony na dym papierosowy, a przecież nie jest w ciąży... - odparła.

Nikki zachichotała.

- Urodziłyby chyba trojaczki! W którym miesiącu jesteś?

Charlotte westchnęła i odwróciła się.

- W piątym. Proszę cię, nie mów nic Zenonowi, bo natychmiast...

- No coś ty? Przecież mu nie powiem! Za kogo ty mnie uważasz!

- Przepraszam. Martwię się, bo potrzebna mi ta praca.

- No, to lepiej chodźmy. - Wyszły po schodkach do korytarzyka prowadzącego na salę baru. Każdego wieczor-

ra Charlotte musiała na nie wchodzić chyba ze sto razy.
- Chyba trudno radzić sobie samej - powiedziała Nikki. - Ja bym się bała. Czy chłopak, z którym zaszłaś, rzucił cię?

Czy lot na drugi koniec Stanów Zjednoczonych równał się porzuceniu? Może nie, bo ojciec dziecka nic o nim nie wiedział. Charlotte poczuła się nagle okropnie zmęczona. Wszystko się waliło i nie wiedziała, co może zrobić, żeby temu zapobiec.

No, może nie wszystko, pomyślała. Przynajmniej Brad był bezpieczny. Raczej. Dopóki nikt nie wiedział, gdzie on jest.

- Nie powinniśmy rozmawiać o tym tutaj - skwitowała. - Gdyby ktoś usłyszał...

- Na przykład Serena. Natychmiast by nakablowała. Na szczęście patrzy tylko w lustro.

Weszły na salę restauracyjną.

- To prawda - zgodziła się Charlotte. - Który obszar mam dzisiaj?

- Czwórkę. Serena ma dwójkę, ja jedynekę, a... Co ci się stało?

- Nic... Przy jednym z moich stolików siedzi taki wysoki, ogolony na zero typ, w czapeczce Cubsów. Ten, który rozmawia przez komórkę. Widziałas go już tu kiedyś?

- Chyba nie. A co?

Idiotka ze mnie! - pomyślała Charlotte. Po co ja mu wypaplałam, gdzie pracuję?!

- Powiedział mi, że nie lubi małych, smarkatych blondynek - wyjaśniła.

- Kto? Ten chłopak? Fajnie wygląda. - Nikki uśmiechnęła się z nadzieją. - Może lubi wysokie blondynki?

Charlotte zastanawiała się, czy obecność tego młodego mężczyzny na miejscu jej wypadku była z góry przez kogoś ustalona. Wydawał się interesujący. Był uprzejmy - ale z drugiej strony, narzucał się; a potem przyszedł do baru... Przeraziła się. Nie wiedziała, co robić. Uciekać, zostać? Wzięła głęboki oddech.

Miała w szafce swój plecak. Gdyby musiała - gdyby nieznajomy okazywał jej zbytne zainteresowanie albo dziwnie się zachowywał - mogła szybko uciec tylnym wyjściem.

- Chcesz zamienić się na obszary? - spytała. - Będziesz mogła sprawdzić, czy wysokie blondynki podobają mu się bardziej niż takie, jak ja.

Przez następne pół godziny starała się skupiać na pracy; była jednak zdenerwowana. Wykolejkowany Murzyn w czapce nie próbował odzywać się do niej. Dlaczego jednak przyszedł do baru? Nie był stałym klientem, z Zenonem także nie rozmawiał - czyli nie chodziło mu o to, żeby postawić pieniądze na konia wyścigowego czy cokolwiek innego.

W końcu napięcie stało się nieznośne. Charlotte podeszła do obiektu swojego zainteresowania i, drżąc, odezwała się:

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego przyszedł pan tu za mną.

- Nie przyszedłem za panią. - Murzyn stuknął dłonią w dno butelki z ketchupem. - Pani naprawdę jest egocen-

tryczką. Postanowiłem tu zająć, bo byłem głodny. Czy mogłaby pani przynieść mi więcej ketchupu? W tej butelce prawie nic nie ma.

Wzięła butelkę.

- Nie wierzę panu.
- Co mnie to obchodzi? Czy przyniesie mi pani ten ketchup, czy nie?

Nagle ktoś położył jej ciężką dłoń na ramieniu.

- Dzięki, Dix - odezwał się znajomy głos. - Przejmuję ją od ciebie.

Charlotte była zaskoczona. Po chwili ogarnął ją lęk, poczucie winy i... pożądanie. Zamknęła oczy.

- Rafe!... - szepnęła.
- Zgadłś. - Rafe Connelly mówił przyjaznym tonem, ale wciąż ścisnął ją mocno za ramię. - Rozumiem zatem, że nie zapomniałaś mnie całkowicie, nawet jeśli kilka innych rzeczy zdażyło ujść ci z pamięci.

Odwróciła się powoli. Zabrał rękę.

Miał na sobie długi, czarny, skórzany płaszcz. Dżinsy kupione chyba w tanim sklepie. I granatową koszulę - ta była na pewno zrobiona z najdelikatniejszej, egipskiej bawełny, Rafe lubił bowiem jej dotyk. Powiedział tak kiedyś. Był szatynem. Jego falujące, zbyt długie włosy były jak zwykle w nieładzie. Może rozczochoła go jakaś kobieta? Było to dla niego normą.

- Przypuszczam, że chcesz ze mną porozmawiać - powiedziała Charlotte. - Będziesz musiał poczekać do końca mojej zmiany.

- Nie wydaje mi się... - odpowiedział powoli Rafe, po czym złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć ku drzwiom.

- Rafe! - Wrywała się. - Zwariowałeś? Nie mogę w tej chwili wyjść!

- Możesz.

Klienci przyglądali się im. Zaparła się z całych sił. Obejrzał się przez ramię i szarpnął ją; musiała zrobić parę kroków, żeby się nie przewrócić.

- Przestań! Wyrzuć mnie!

- Myślisz, że mnie to int...

- Co jest grane?! - warknął Zenon, zastępując Rafe'owi drogę.

Coś takiego! Zenon jako obrońca!

- Ten idiota wyciąga mnie na dwór! - wyjaśniła Charlotte.

- Nie chcę tu żadnych kłopotów! - ostrzegł właściciel baru, rzucając jej pełne potępienia spojrzenie, jakby to była jej wina, że ten mężczyzna ją porywa. - Jakikolwiek ma pan z nią problem, będziecie musieli się rozmówić po pracy.

- I tak od jutra ta pani już nie będzie u pana pracować.

- Będę! - Charlotte szarpnęła się znowu, ale zaboląła ją tylko ręka.

- Nie powinna ciężko pracować - ciągnął spokojnie Rafe - w takim stanie.

- W jakim stanie?! - sapnął Zenon.

Nie mów mu! - błagała w myśli Charlotte.

Rafe uniósł brwi, zdziwiony.

- Jak to? To pan nie wie, że ona jest w ciąży?
- Co takiego?! To dlatego chodzisz w tych burych swetrach! Ty mała kurewko, okłamywałaś mnie! - To powiedziawszy, właściciel baru naciągnął sweter na brzuchu Charlotte, po czym przyłożył do niego rękę.

Rafe puścił ją, po czym uderzył go krótkim prostym w szczękę. Zenon przeraził się. Padł na ziemię od siły ciosu.

- Nie dotykaj jej! - warknął Rafe. A potem wyciągnął Charlotte za drzwi.

scandalous

ROZDZIAŁ DRUGI

- Zwariowałeś?! - krzyknęła, kiedy znaleźli się na dworze. - Znokautowałeś mojego szefa!

- Coś mi mówi, że ten typ nie będzie dłużej twoim szefem.

Było już ciemno -jeśli nie liczyć świateł miasta. I zimno. Na ulicach robiło się pustawo - jedni stali bądź poruszali się w grupkach i śmieli się zbyt głośno, inni szli w pojedynkę, rozglądając się z niepokojem. Rzuciły się w oczy intensywnie umalowane kobiety w krótkich spódnicach. Nikt się nie wtrącał, gdy mężczyzna w skórzanym płaszczu ciągnął za sobą wrywającą się kobietę.

- Jest zimno! - zawołała. - W środku został mój płaszcz i inne rzeczy. Musisz pozwolić mi wziąć rzeczy!
- Chodziło jej przede wszystkim o plecak.

- Zaparkowałem parę metrów stąd. Mój samochód ma dobre ogrzewanie.

- Nie możesz zabierać mnie ot, tak sobie! To porwanie.

- Tak? - Rafe Connelly zatrzymał się raptownie, aż wpadła na niego. Zasłoniła się ręką. Miał twardą pierś. I te usta... Cofnęła się.

- Jeśli według ciebie popełniam przestępstwo, to wołaj, żeby wezwali policję!

Charlotte milczała. Rafe triumfował.

- Tak myślałem! Chodź.

Zastanawiała się, jak znalazł wolne miejsce do zaparkowania. Niejedno potrafił - a może po prostu miał szczęście, jak niemal zawsze. Był obdarzony chyba wszystkimi darami, jakie może mieć człowiek. Bogactwem, urodą, inteligencją. Można się było spodziewać, że w przyszłości odniesie wielkie sukcesy zawodowe i założy kochającą rodzinę. Powinien być może zepsuty, płytki, nieciekawym. Ale nie był. Był prawdziwie fascynującym mężczyzną. Nie zmanierowanym, otwartym, oryginalnym, hojnym.

Po prostu idealnym - i to najbardziej w nim denerwowało.

Przyjechał dużym, granatowym, eleganckim samochodem. Nie pasującym do Rafe'a - można by się po nim spodziewać agresywnie wyglądającej, sportowej maszyny. Ale Rafe Connelly zawsze robił co innego, niż się sądziło.

- Wsiadaj - rzucił, otworzywszy drzwi. Charlotte nie protestowała. Po co? I tak właśnie straciła przez niego pracę. Mogli więc teraz omówić swoje sprawy. Rozmowa będzie niemiła - ale to nie pierwsze przykre wydarzenie, z jakim musiała sobie w życiu poradzić.

Znała ten samochód. Siedziała w nim po raz drugi. Starła się nie myśleć o pierwszym razie.

Rafe włączył hałaśliwą muzykę rockową. Po chwili jednak wyłączył i spytał:

- To moje dziecko, prawda?

Zamknęła oczy.

- Tak.

Uderzył pięścią w kierownicę, aż Charlotte podskoczyła ze strachu.

- Nie przyszło ci do głowy, że chciałbym o tym wiedzieć?! - rzucił. - Że mam do tego prawo?!

- Chciałam ci powiedzieć. Kiedy będę mogła.

- A kiedy będziesz mogła? Może wtedy, gdy moje dziecko zda maturę i będą potrzebne pieniądze na studia? Przysłałabyś mi zawiadomienie, czy tak? - Charlotte patrzyła bez słowa, zaciskając dłonie. - Nosisz w sobie moje dziecko. Znikłaś nagle i podjęłaś słabo płatną, ciężką pracę, gdzie musiałaś być cały dzień na nogach i wracać późno w nocy, przez tę dzielnicę!

Wydeła usta. Dorastała w podobnych dzielnicach.

- Poradzę sobie - burknęła.

- Mimo że mafia chce cię zabić?

Przełknęła.

- Szkoda, że ci się nie udało! - Rafe obrócił się w fotelu, żeby łatwiej mu było na nią spoglądać, i mówił szybko, nerwowo stukając dłonią w oparcie. - Sprzedając tajemnice mojego ojca, powinnaś była zarobić niezłą gotówkę; ale jakoś powinęła ci się noga i z forsy nici! Na drugi raz powinnaś uważniej dobierać sobie partnerów w interesach.

- To nie było tak!... - wydobyła z siebie.

- Nie? To może zechcesz łaskawie powiedzieć mi, jak?

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Nie wiedziała, że dyskusja będzie aż tak nieprzyjemna. Zaskoczyło ją, że Rafe uznał, iż zrobiła to wszystko dla pieniędzy.

Właściwie nie powinna się temu dziwić. Z jego punktu widzenia wniosek był logiczny.

- Powiadomiłam policję. Dlatego właśnie wynajęto mordercę, żeby mnie zabił.

Rafe westchnął i przestał stukać. Patrzył tylko.

Uniosła brodę i odpowiedziała mu odważnym wzrokiem. Jednak wówczas poczuła znowu, jak działa na nią widok jego twarzy o wspaniałych rysach.

Miał głęboko osadzone, ciemne oczy, niemal czarne brwi, przydługie zaś, zmierzwiłone włosy - trochę jaśniejsze. Był ciemnym szatynem. Często chodził nieogolony, także i tego dnia na jego twarzy widniał krótki zarost. Miał prosty, piękny nos i usta, które zostały chyba stworzone do uśmiechu i całowania. Trochę zbyt zmysłowe, szerokie i niepoważne, jak na tę twarz.

Nie tylko jego usta zdawały się nie pasować do reszty. Rafe w ogóle robił wrażenie poskładanego z pozornie nie odpowiadających sobie kawałków. Ale mimo wszystko całość była nader ponętna...

Przesunął dłonią po włosach.

- Dix powiedział, że dzisiaj rano ktoś o mało cię nie przejechał.

- Ten z kolczykami i w czapce? To do ciebie dzwonił. Pracuje u ciebie.

- To mój kolega, ale rzeczywiście, pracuje u mnie.

- Rafe zacisnął zęby. - Pomógł mi cię odnaleźć. Szukałem cię od miesięcy!

- Rzeczywiście! - zakpiła Charlotte. - Bardzo się starałeś.

- Telefonowałem. Nie oddzwaniałaś.

- Jak mogłam o tym zapomnieć? - drwiła dalej. - Miesiąc po tym, jak wylazłeś z mojego łóżka, zdobyłeś się na pozostawienie mi wiadomości na automatycznej sekretarce!

- Nie było mnie w mieście. Przecież wiesz, że wyjeżdżałem następnego dnia. A poza tym, nagrywałem się parokrotnie!

Rzeczywiście, dzwonił trzy razy. Ale i tak zrobił zbyt mało i za późno.

- Gdybyś naprawdę chciał ze mną porozmawiać, mogłeś to zrobić. Wiedziałeś przecież, gdzie jestem. Znikłam dopiero miesiąc temu.

- Tak. Udawałaś lojalną pracownicę, asystentkę mojego ojca, a tymczasem sprzedawałaś Kellym tajemnice firmy.

- Więc jestem gnidą. - Charlotte powstrzymywała płacz. - Według ciebie, nie byłam warta twojej uwagi. Stwierdziłeś to na długo przedtem, zanim odkryłeś, co robiłam.

- Nie było tak! - zaprotestował.

Jasne. Nie miała ochoty usłyszeć czegoś w rodzaju „nie jesteś w moim typie”. Zdawała sobie sprawę, że niewiele łączy ich światy. Od początku rozumiała, że przyciąga ich do siebie jedynie wzajemne pożądanie.

A jednak robiła z siebie idiotkę. Zacisnęła usta. Wzięła głęboki oddech i spytała:

- Jak mnie odnalazłeś?
- Posłużyłaś się numerem polisy ubezpieczeniowej twojej matki. Podałaś go w tej spelunie, z której cię wyciągnąłem.

- Rzeczywiście, wyciągnąłeś mnie! - zadrwiła. - Skąd wiesz, jaki numer tam podałam?

- Dix potrafi znaleźć praktycznie wszystko, co jest zapisane na komputerze, gdziekolwiek na świecie.

- To znaczy, jest hakerem. - Pokręciła głową. Rafe, specjalista od bezpieczeństwa systemów komputerowych przedsiębiorstw, przyjaźnił się z komputerowym włamywaczem.

- Jednym z najlepszych. Poprosiłem, żeby sprawdził polisy ubezpieczeniowe twoich rodziców, których wymieniłaś w umowie z Connelly Corporation. Odnotował dochód u twojej matki. To zaskakujące, zważywszy na fakt, że zeszła z tego świata dziewięć lat temu.

Charlotte zmroziło. Jeśli Rafe był w stanie w taki sposób ją znaleźć, inni też mogli.

- Może będzie lepiej, jak nie wrócę do mojego mieszkania. .. - odezwała się. Decydowała się właśnie opuścić drugie z kolei.

- To pierwsza rozsądna rzecz, jaką mi dzisiaj powiedziałaś.

Ale gdzie się podzieję? - myślała. Miała w kieszeni tylko kilka napiwków, reszta pieniędzy została w barze,

w plecaku. Musiała po niego wrócić. I tak jednak posiadała zaledwie dwieście trzynaście dolarów.

Boże! Stała się prawie bezdomna. Wiedziała, co musi zrobić, choć bardzo tego nie chciała.

- To naprawdę ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę - powiedziała - ale chyba muszę poprosić cię o pożyczkę. Nie mam dość pieniędzy, żeby wynająć kolejne mieszkanie.

Rafe chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak wściekły, a równocześnie zaniepokojony. Gzuł ciężar w piersi, ilekroć przypominał sobie, jak niewiele brakowało, aby Charlotte wraz z ich nienarodzonym dzieckiem zginęli tego dnia pod kołami samochodu.

Cholera, zaklął w myśli. Nie był zadowolony ani z niej, ani z siebie. I nie wiedział, co robić.

- Nie pożyczę ci ani centa! - burknął, po czym uruchomił silnik i ruszył.

- Co ty wyprawiasz?!

- Sądziłem, że jesteś dość inteligentna. Jak myślisz?

Sięgnęła do drzwi, ale zerknął na nią i przyciągnął gwałtownie do siebie.

- Hej, wyskakiwanie z jadącego samochodu jest zabronione!

Puścił ją i prowadził dalej, wciąż spoglądając na nią kątem oka.

- Zapnij pas - polecił. Nie chciał, żeby wyskoczyła na czerwonym świetle. Podniecało go jej nerwowe zachowanie; powinien jednak nad tym zapanować. Ta kobieta kła-

mała, zdradziła firmę jego ojca, była przestępczynią - a w każdym razie płacili jej przestępcy.

- Muszę wrócić po plecak, zanim ktoś go ukradnie - powiedziała Charlotte rzeczowym tonem. Jej głos zawsze powodował, że Rafe miał ochotę ją rozebrać. Do firmy wkładała zapięte pod szyję jedwabne bluzki. Zdawało jej się, że kiedy nie będzie odsłaniać ciała, pracujący obok niej mężczyźni nie będą na jej widok myśleli o seksie. Naiwna!

Już dawno doszedł do wniosku, że większość kobiet nie ma pojęcia, jak niewiele trzeba, aby myśli mężczyzny zaczęły krążyć wokół seksu. Błyszczący jedwab, z jakiego uszyte były jej bluzki, tak interesująco poruszał się, połyskiwał na jej okrągłych, wspaniałych piersiach... Rafe widział je już, dotykał ich. Pokręcił głową i spróbował usunąć ze świadomości wspomnienie tamtych chwil.

- Zapomnij o tym plecaku. Kupię ci drugi.

- Nie chcę, żebyś mi cokolwiek kupował; chcę odzyskać mój plecak.

- Słuchaj, Charlie, kiedy szłaś do pracy, ktoś próbował cię zabić. Nie możesz tam wrócić.

- Nie nazywaj mnie „Charlie”.

Ileż to razy tak się do niej zwracał w ciągu minionych dwóch lat, kiedy była asystentką jego ojca? Kiedy między Rafem a nią doszło do seksu, także wołał: „Charlie, Charlie!”.

- Dobrze, Charlotte. Zapnij pas. Nie chcę narażać dziecka na niebezpieczeństwo ani pozwolić ci uciec.

Spojrzała z wściekłością i odparła:

- Zgodziłam się porozmawiać z tobą, a nie na to, żebyś mnie porwał!

- Niezbyt dobrze chroniłaś siebie i dziecko, więc przejmuję was pod swoją opiekę.

- Jeśli chodzi ci o mój dzisiejszy wypadek, mógł nie mieć związku z niczym. Mało u nas fatalnych kierowców?

- Taka jesteś bystra, a w ogóle nie myślisz. A może zdaje ci się, że ja nie myślę. Usiłujesz mi wmówić, że nie ma związku między człowiekiem, który próbował cię przejechać, a tym, który do ciebie strzelał? Zastanów się. Ja w to nie uwierzę.

- Zabierz mnie z powrotem do baru.

- Nie.

Zaniepokoiła się.

- Słuchaj, jeśli wiesz mnie na policję - błagam cię, nie rób tego. Kiedy do mnie strzelano, wychodziłam akurat z komendy policji. Wydaje mi się, że to któryś z policjantów dał znać bandytom. Nie chcę jechać do policyjnej kryjówki, bo obawiam się, że tam mnie zabiją.

- Nareszcie w czymś się zgadzamy. A teraz zapnij pas, bo sam to zrobię. Mieszkam w Bucktown. Po drodze bez wątpienia napotkamy wielu fatalnych kierowców.

- Wiesz mnie do swojego domu?! - Pokręciła głową. - Nie chcę tam jechać.

- Nie masz wyboru. Ja też nie mam wielkiego... - Rafe westchnął. Teraz powie to, o czym chciał powiadomić Charlotte. - Nosisz w sobie moje dziecko. Pobierzemy się.

- Bardzo śmieszne!

To on parsknął śmiechem.

- Myślisz, że żartuję?! - Spochmurniał. - Ślub będzie musiał być skromny, bo inaczej pojawi się na nim zamachowiec. Już dwa razy mu się nie udało, ale nie ma co liczyć, że znowu będzie miał takiego pecha, jak do tej pory.

Siedziała w milczeniu, oszołomiona.

- Nie masz nic przeciwko temu? To dobrze. Jutro zrobimy badanie krwi.

- Przecież wcale nie chcesz się ze mną ożenić! Ty w ogóle nie chcesz się ożenić. Jeżeli uważasz, że tak powinien postąpić porządny mężczyzna, doceniam to - ale informuję cię, że nie wymagam tego od ciebie.

- Chcę mieć swoje dziecko.

Zamknęła oczy, westchnęła i odpowiedziała cicho:

- Ja też chcę, żebyś był ojcem naszego dziecka, zajmował się nim. Ale do tego nie musisz aż żenić się ze mną.

- Nie mam zamiaru odwiedzać swojego dziecka w co drugi weekend. Chcę z nim być, zmieniać mu pieluszki, pomagać ci go karmić, odprowadzać na szkolne dyskoteki i przeżywać jego egzaminy na studia. - Rafe pokręcił głową. - Sam jestem zaskoczony, że tak czuję, więc rozumiem, że i ty się dziwisz. Ale tak jest. Chcę być prawdziwym ojcem - więc musimy się pobrać.

- A jeśli odmówię? Czy wówczas postarasz się odebrać mi dziecko?

- Czy ty mnie masz za jakiegoś potwora? Walka

o dziecko to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. I dlatego właśnie proponuję ci małżeństwo. Poza tym potrzebujesz mnie.

- Nikogo nie potrzebuję. A ty wcale nie chcesz być moim mężem.

- Rzeczywiście, w ogóle nie chcę się żenić. Ale nie mogę porzucić własnego dziecka. Wychowywano mnie na odpowiedzialnego człowieka... - Hm, jego rodzice nie pochwalali bynajmniej seksu bez zabezpieczenia z przypadkowymi osobami... Sam nie rozumiał, jak mógł zrobić coś tak skrajnie nierozważnego. - I nie martw się o nasz seks małżeński. Dojdziemy w tej sprawie do porozumienia.

- Wyobrażam sobie, że nie musisz lubić kobiety, z którą idziesz do łóżka. Ale ja jestem bardziej wybredna. Nie wyjdę za mężczyznę, który mną gardzi!

- Potrzebujesz mnie, chcesz, czy nie. Chcą cię zabić prawdziwi, groźni bandyci, i nie masz pieniędzy, żeby się przed nimi uchować. Skoro ja zdołałem znaleźć cię w tym barze, oni też by potrafili. Zdaje się, że już cię zresztą znaleźli.

Zagryzła wargi. Ucieszył się. Widać było, że jego słowa zaczynają trafiać jej do przekonania.

- Nie musisz natychmiast decydować się, czy zgodzisz się wyjść za mnie, czy nie— ciągnął. - Ale zamieszkać u mnie. Będę cię chronił. Nie wystawiaj dziecka na niebezpieczeństwo z powodu zwykłej dumy.

Milczała.

- Dobrze - powiedziała w końcu. - Nie wyjdę za ciebie, ale na razie ukryję się u ciebie.

Jej szybka zgoda zaskoczyła go. Nie wiedział, czy bała się morderców bardziej, niż to po sobie pokazywała, czy też może uknuła jakiś chytry plan.

Rafe uważał siebie za prostolinijnego człowieka, a zagadki i sprytnie, zaskakujące rozwiązania lubił tylko w programach komputerowych. Pracował ciężko, ponieważ lubił swoją pracę i był ambitny. Bawił się także na całego i odpoczywał beztrąsko. Przynależność do rodziny Connellych i tak przysparzała mu w życiu więcej kłopotów niż by chciał. Starał się więc ich nie mnożyć. Życie osobiste prowadził zwyczajnie.

Dlaczego więc jednak znalazł się w tak dziwnym związku z tą nader skomplikowaną kobietą?

Z powodu jej piersi. Zerknął na nie ukradkiem. Były naprawdę wspaniałe - nie jakieś szczególnie duże, tylko bardzo pięknie ukształtowane. Poza tym lubił ją kokietować, drażnić się z nią - reagowała na to w sposób, który bardzo mu się podobał. Ale piersi czy sposób bycia, choć mogą zwrócić uwagę mężczyzny na kobietę, nie są jeszcze wystarczającym uzasadnieniem, żeby zaciągać ją do łóżka, kiedy tylko nadarzy się okazja. A przecież wiedział - tak, cholera! - już wtedy wiedział, że Charlotte jest dziwną kobietą o trudnym charakterze.

Fascynowała go po prostu. Była tajemnicza, nie mówiła nic o sobie; zawsze była opanowana i zadbana, ale czuło się, że coś ukrywa.

Wydawało mu się jednak, że znają na tyle, że może jej zaufać. Zresztą ufał jej jego ojciec - a Grant Connelly rzadko mylił się co do ludzi.

Dlaczego więc zawiodła jego zaufanie?

Tak naprawdę Rafe nie wiedział o niej niemal nic.

Około Bożego Narodzenia najstarszy z jego braci, Daniel, ku swojemu i wszystkich zaskoczeniu, odziedziczył tron Altarii - małej wysepki na Morzu Śródziemnym, z której pochodziła ich matka - i został królem. Zaraz potem ktoś próbował go zabić. Grant - ojciec - zatrudnił dwóch prywatnych detektywów, Lucasa Starwinda i Toma Reynoldsa. Jednak prywatne śledztwo do niczego nie doprowadziło - podobnie jak śledztwo policji. Wiadomo było jedynie, że zabójstwa usiłował dokonać zawodowy morderca oraz że zamach miał związek z objęciem przez Daniela tronu.

W maju nastąpiła poważna awaria systemu komputerowego Connelly Corporation. Nie zdziwiło to Rafe'a - od dwóch lat należało, żeby jego ojciec zainstalował nowe wersje oprogramowania. Rafe pracował tymczasem w Phoenix, brał udział w dużym projekcie i nie mógł dodać sobie jeszcze pracy. Wówczas Charlotte poleciła znanego sobie specjalistę, który znał używane w firmie programy. Bez problemu poradził sobie z awarią.

Nie było powodu podejrzewać związku awarii systemu z zamachem na Daniela - aż do minionego miesiąca. Wówczas to zamordowano Toma Reynoldsa - jednego z zatrudnionych przez Granta detektywów. Jego ciało zna-

lezione koło biura informatyka, który naprawił system komputerowy firmy. Na krótko przed śmiercią Reynolds zdołał zadzwonić do ojca Rafe'a i powiedzieć, że system powinien zostać sprawdzony.

Tajemniczy informatyk zaś zniknął.

Pozostawało przesłuchać Charlotte - co zrobiła policja. Grant nie oskarżył Charlotte o nic, ale i tak odmówiła zeznań. Kiedy wychodziła z komendy policji, strzelano do niej, lecz uniknęła śmierci.

Potem złożyła zeznania, a wreszcie - zniknęła. Policja nie chciała zdradzić treści jej zeznań. Rafe wiedział tylko, że to Angie Donahue - matka jego przyrodniego brata, Seta - w taki czy inny sposób poleciła Charlotte tego informatyka.

A Angie Donahue była związana z mafijną rodziną Kellych.

Teraz zawodowy morderca ścigał Charlotte. Wszystko to było naprawdę okropne. Rafe zrezygnował z następnego projektu, którym miał się zająć, i natychmiast po dokończeniu poprzedniego wrócił do Chicago. Od tamtego czasu usiłował stwierdzić, co podejrzany informatyk zrobił z komputerami firmy ojca, oraz szukał Charlotte. Spojrzał na nią.

- Czy czasami czujesz, jak dziecko się rusza? - spytał.
- Tak. - Przyłożyła rękę do brzucha i uśmiechnęła się.
- W tej chwili chyba śpi. Ale od miesiąca czuję jego ruchy. To niezwykle uczucie...

- Powiedz mi, kiedy następnym razem poczujesz, że się poruszyło. Chciałbym... jakoś wziąć w tym udział.

Zaczerwieniła się.

- Rozumiem.

- To dobrze. Dziękuję ci.

Skinęła głową.

Wiedział, że nie pójdzie mu z nią łatwo. Ale i on miał względem niej plany, których się nie spodziewała.

Nie chciała za niego wyjść, ale musiała - dla dobra własnego, Rafe'a, a zwłaszcza dziecka, które w sobie nosiła. Zamierzał przekonać ją do małżeństwa. I wiedział, jak się do tego zabrać. Uwiedzie ją - podobnie jak poprzednio, kiedy to wplątał się w obecne kłopoty.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nie wiedziała, jak może wyglądać apartament Rafe'a. Domyślała się tylko, że nie może przypominać domu jego rodziców przy Lake Shore Drive. Grant i Emma Connelly mieszkali w rezydencji z epoki georgiańskiej, umeblowanej eleganckimi antykami. Była otoczona wielkimi trawnikami, pośród których znajdował się i labirynt z krzewów bukszpanu, i wymyślnie ukształtowany basen. Wszystko to musiało być warte olbrzymią sumę, a przy tym było urządzone ze smakiem.

Rafe zdecydowanie nie był miłośnikiem tradycji. Lubił nowoczesność, przypadek, ruch. Nie zdziwiła się więc, gdy zajechali pod budynek mieszkalny zaadaptowany z biurowca. Mimo to wnętrze jego apartamentu zaskoczyło ją. Rozejrzała się powoli, drapiąc się w głowę.

Jeśli nie liczyć kuchni, cały dolny poziom piętrowego apartamentu stanowił jedno ogromne pomieszczenie. Sufit był wysoki, na podłodze położono klepkę, wnętrze było urządzone w jaskrawych kolorach. Przestrzeń dzieliły meble, nie ściany. Terakota wyznaczała jadalnię. Widniało tam olbrzymie malowidło, przedstawiające błazna w otoczeniu latających baloników.

W innym miejscu, naprzeciw kominka, stała kanapa o odcienu brzoskwini i wyznaczała obszar, gdzie można było odpoczywać, rozmawiać. Kominek był nowoczesny, biały. Odcinał się od ciemnoniebieskiej ściany o trzech oknach. Dalej wisały półki z książkami, na podłodze stał gigantycznych rozmiarów telewizor oraz zestaw stereofoniczny. Naprzeciw telewizora były fotele - zielony, żółty i purpurowy. Przed pojedynczym, dużym oknem na drugiej ścianie wisił hamak. Obok znajdowały się stalowe schody, a koło nich - przepiękny, drewniany posąg nagiej kobiety.

- Widzę, że masz dziwną minę - odezwał się Rafe.
- Jeśli to mieszkanie ci się nie podoba, wiedz, że to wina mojej siostry, Alexandry. Ona wybrała większość rzeczy.

Charlotte popatrzyła na niego. A potem zauważyła:

- Na żyrandolu wisi krawat!

Podniósł głowę, zaskoczony.

- Rzeczywiście.

Roześmiała się, mimo że bolała ją głowa. Odwróciła się, żeby nie widział, jak się śmieje. W tym ekstrawagancko, ze swoistym smakiem urządzonym wewnątrz panował ekstrawagancki bałagan. Wszędzie znajdowały się najrozmaitsze przedmioty, które teoretycznie powinny być w innych miejscach. Książki, czasopisma, gazety, ubrania, gitara, dwie wielkie - i całkiem uschnięte - rośliny doniczkowe. Na szklanym stole jadalni leżały części komputerowe, kolejne gazety, skrzynka z narzędziami i para skarpetek. Skórzany płaszcz Rafe rzucił na puf. Posąg kobiety miał na głowie czapeczkę baseballową.

Nie wiedzieć czemu, Charlotte spodobał się cały ten rozgardiasz. Rafe zawsze wydawał się denerwująco doskonały - zbyt seksowny, zbyt bogaty, zbyt pewny siebie. To zaniedbane mieszkanie stwarzało bardziej ludzki obraz. Westchnął.

- Mam tu bałagan, co?

- Hmm...Tak.

- Nie przeszkadza mi to, ale ty lubisz porządek. Jutro zobaczę, co da się zrobić. - Rozejrzał się, jakby nie był pewien, co to miałyby być. - Wszystko jest czyste, nie martw się. Kiedy jestem w Chicago, przynajmniej raz w tygodniu przychodzi sprzątaczką. Ma na imię Doreen, likwiduje każdy pyłek. Raz o mało nie przejechała odkurzaczem po mnie, kiedy sobie drzemałem, ale obudziłem się na czas.

A niech to, jego żarty i uśmiech działają! - pomyślała Charlotte.

- Leżałeś w hamaku? - upewniła się.

- Wygodnie się w nim odpoczywa. Ale nie musisz próbować.

- Nie mogę się doczekać. Co jest za tą czerwoną ścianą?

- Kuchnia. I mała łazienka. Duża łazienka jest na górze; tak samo moja sypialnia i pokój do pracy.

- A gdzie masz pokój gościnny? Gdzie będę spała - na górze czy tutaj?

- Ach... Nie ma pokoju gościnnego. Drugi pokój przerobiłem sobie na biuro.

- Słuchaj, jeżeli wyobrażasz sobie, że wskoczę ci do łóżka.

- Będziesz tu sama - jeśli tego właśnie chcesz.

Nie zamierzała odpowiadać na tę prowokację. Ruszyła ku schodom.

Pomieszczenia na górnym poziomie były mniejsze niż dolne, ale i tak większe niż salon w jej dawnym mieszkaniu. Pierwszy z pokoiów rzeczywiście wyglądał jak nowoczesne biuro, z tym że sprzęt komputerowy był częściowo przykryty stosami papierów i pism. Naprzeciw znajdowała się łazienka. Na jej widok Charlotte uśmiechnęła się i weszła do środka. Łazienka była długa i wąska, wyłożona kafelkami w kolorze błękitu kobaltowego. Kontrastowały z nim śnieżnobiałe elementy wyposażenia. Zwracała uwagę duża kabina prysznicowa, której ściany wyglądały, jakby były zrobione ze szklanych cegieł, i - wielka, kwadratowa głęboka wanna. Można było się w niej utopić.

- O rany! - wydobyła z siebie Charlotte. - Jaka cudowna wanna! - Ruszyła ku niej.

- I kto by pomyślał? Skromna pani Masters lubi cielesne przyjemności.

- Tylko kąpiel w wannie. - Rozejrzała się. - Dlaczego ręczniki wiszą normalnie, zamiast leżeć w beładnym stosie na podłodze?

- To w wyniku urazu z dzieciństwa. Mama nie znosiła, kiedy zostawiałem mokry ręcznik na podłodze łazienki. Czy chcesz się wykapać, zanim zjemy? Przyniosę ci jakieś

ubranie. - Zniknął w korytarzu. - Będziesz sobie mięknąć, a ja w tym czasie zrobię obiad. Mogą być steki?

- Nie rób sobie z mojego powodu żadnych kłopotów.
- Zmiany nastroju Rafe'a trochę ją zaskakiwały. Zastanawiała się, w jakim stanie znajduje się jego kuchnia. - Starczą kanapki, czy co tam masz pod ręką.

Weszła do sypialni. Najpierw jej wzrok spoczął na łóżku - było ogromne i nieposłane. Zmięta kołdra i poduszki leżały w nieładzie. Przypomniało to wygląd jej własnego łóżka pewnego ranka przed pięcioma miesiącami.

Czy Rafe ostatnio z kimś spał?

- Nie martw się - odezwał się z rozbawioną miną. - Widok łóżka nie sprawi, że się na ciebie rzucę.

- Co za różnica? - mruknęła. - Już to z tobą robiłam.
- Natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów. - Odwołuję to, co teraz powiedziałam.

- A jednak. Przypomniało ci się, jak byliśmy razem w łóżku.

- Nie! - Oczywiście, że jej się przypomniało. Pożądanie, gorączka, impuls. A potem smak jego ust, dotyk jego rąk. Szybki. Dążył do wiadomego celu. Narastające podniecenie, zmierzające do zrealizowania z nim tego celu...

- A mnie się przypomniało. Pamiętam twój zapach i smak twoich ust, kiedy krew pulsowała ci tak szybko, o tu... - dotknął swojej tętnicy szyjnej.

Odruchowo zrobiła to samo. Także teraz jej serce było szybciej niż normalnie. Zachnęła się.

- Nie mam zamiaru rozpamiętywać dzisiaj tamtych wspomnień. Chcę się za to umyć.

- Czemu ja tak lubię te twoje drwiące teksty? Nie wiem. - Rafe pokręcił głową. Uśmiechał się. Choć patrzył inaczej - z fascynacją, pożądaniem. Zrobił krok naprzód, a ona cofnęła się. Uśmiechnął się szerzej.

- To masz do spania - powiedział, podając stary dres.
- Już mówiłem, że nie rzucę się na ciebie - ale gdybyś ty miała na to ochotę, jak najbardziej możesz się na mnie rzucić.

- Chciałbyś.

- Ty też chciałaś... Zrobiłaś to ze mną.

Poczuła suchość w ustach i mocniejsze bicie serca. Wyjęła ubranie z ręki Rafe'a i szybko ruszyła do łazienki.

Woda byk bardzo przyjemna, kojąca; wilgotne, nagrzane powietrze pachniało migdałowym szamponem. Charlotte zaczęła golić nogi.

To była łazienka jak z jej marzeń. Właściwie - w pewnej chwili przyznała się do tego przed sobą - cały apartament przypominał to, o czym czasem marzyła. I wciąż wydawał się bardziej marzeniem, niż rzeczywistością, do jakiej przywykła...

Tylko ten okropny bałagan! I hamak? Ale reszta - kosztowne nowoczesne meble, jaskrawe kolory, metalowe kręcone schody, kominek, piękne dywany - od lat marzyła właśnie o takim mieszkaniu.

Zdawała sobie sprawę, że przywiązuje zbyt dużą wagę

do rzeczy materialnych. Oceniała to krytycznie, jednak wiedziała, że piękne przedmioty mają dla niej znaczenie i pewnie zawsze będą miały. To niewątpliwie wskutek tego, że wychowywałam się w ubóstwie, myślała.

Zamknęła oczy i zaczęła się zastanawiać. Czy Rafe marzył o jej przybyciu do tego mieszkania? Czy natchnęło go jej wyobrażenie? Myślał o niej?

To nie ma znaczenia! - powiedziała sobie. Nie powinna żyć marzeniami. Może i marzył o niej - wcześniej. W łóżku było im ze sobą naprawdę wspaniale. Ale to nie wystarczy, żeby być mężem i żoną.

W tym momencie dziecko poruszyło się w jej brzuchu. Dotknęła go. Za każdym razem ją to zdumiewało. Ruchy innej ludzkiej istoty, znajdującej się wewnątrz jej ciała. Czy przyzwyczai się do nich stopniowo? Czy zacznie ją denerwować, kiedy dziecko będzie większe i jego kopanie będzie ją budzić?

Uśmiechnęła się. Nie przypuszczała, żeby jej odczucia w tej kwestii miały się zmienić. Ku własnemu zaskoczeniu, czuła się cudownie z tego powodu, że jest w ciąży. Na początku była przerażona i miała wymioty. Wyrzuty sumienia, że zrobiła coś tak nieodpowiedzialnego. Ale teraz - odczuwała ruchy swojego maleńkiego dziecka... Pogłaskała swój brzuch, uśmiechając się odruchowo. Podobają jej się nawet to, że ciąża zaczynała być widoczna. Dziecko rosło. Przez całe dotychczasowe życie w jej ciele była tylko ona - a teraz było ich dwoje. Nie mogła wyjść z podziwu nad tym faktem.

Zabawne. Wcześniej nigdy nie marzyła o ciąży. Jej fantazje obracały się wokół tak zwanego sukcesu. Własne papiery wartościowe, solidne zabezpieczenie finansowe na starość, piękne przedmioty - kostiumy od projektantów mody, antyczne biurko i tak dalej.

Choć marzyła i o czymś jeszcze. Czymś zupełnie niemożliwym do zrealizowania. Ot, ludzka fantazja - mawiała sobie. Pracowała w Connelly Corporation przez trzy lata, z czego dwa ostatnie była asystentką Granta Connelly'ego. Marzyła o Rafie. Ale przez cały ten czas nie zaproponował jej randki. Była więc pewna, że jej tęsknota do niego jest całkowicie beznadziejna. Jednak pewnego wieczora, przed pięcioma miesiącami, rodzina Connellych urządziła grilla przy swoim letnim domu nad brzegiem jeziora. Charlotte pojechała tam, żeby uzyskać podpis sześcioletniej dziewczynki na pewnym kontrakcie. Rafe zauważył wówczas wreszcie, że jest jakaś niespokojna. Chciała szybko odjechać, skłamała więc, że jest chora. To był błąd. Grant nie zgodził się, żeby w takim stanie sama pojechała z powrotem samochodem do pracy. A Rafe zaproponował, że ją odwiedzi. Była głupią marzycielką, więc nie protestowała dość energicznie...

Pewnego majowego wieczora

- Co ci właściwie jest? - spytał Rafe. Wiózł ją samochodem do miasta.
- Złapałam chyba jakiegoś wirusa. Nic poważnego.

Zapadał romantyczny zmierzch. Po lewej szarzały po-
mału wody wielkiego Jeziora Michigan - w zapadającej
ciemności robiło się tajemnicze. Jednak Charlotte bardziej
przejmowała się tajemnicami, które skrywała przed rodzi-
ną Connellych. Z tego powodu źle się czuła w obecności
Rafe'a. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Zamknęła
oczy, ale napięcie nie ustępowało.

- Wyobrażałam sobie, że masz sportowy samochód
- odezwała się.

- Wolę wygodę - odpowiedział. - Nie lubię jeździć
z kolanami pod brodą.

Uśmiechnęła się. Rafe potrafił ją rozbroić.

- Nie wydaje mi się, żebyś była chora - powiedział.

Natychmiast usiadła prosto.

- To doprawdy dziwne, usłyszeć coś takiego... Chyba
nie jesteś aż tak próżny, żeby sądzić, że specjalnie wyrwa-
łam cię z przyjęcia, żeby pobyć z tobą sam na sam.

Zachichotał.

- Chciałbym. Nie, przecież odmawiałś jak najęta, kie-
dy powiedziałem, że cię podwożę. Właściwie, Charlie,
jesteś tak niezależna, że aż tym denerwujesz.

- Mam na imię Charlotte. - Spuściła wzrok. Żołądek
jej się ścisnął. W kabinie samochodu panowała atmosfera
intymności; ciągnęło ją do Rafe'a. A jednocześnie, powin-
na o tym nie myśleć - w tej chwili musiała znaleźć sposób
na odkrycie tego, co polecony przez nią informatyk zrobił
z komputerami firmy. I przywrócić stan systemu do nor-
malnego.

Rafe zerknął na nią i uśmiechnął się.

- Jesteś niespokojna, siedząc ze mną, tylko we dwoje?
- Co ty wygadujesz?
- Gdyby tata nie kazał ci wsiąść ze mną do tego samochodu, nigdy byś tego nie zrobiła.
- Twój ojciec nie kazał mi tego. Jest dla mnie bardzo dobry.

A ona go zdradziła! Ale co mogła zrobić innego? Och, Brad! - myślała. Mieszały się w niej uczucia - miłość, poczucie winy. Musiała jakimś sposobem wszystko naprawić. Nawet jeśli będzie musiała spędzać wszystkie weekendy w biurze.

Nie była w stanie zmienić jednego - jej marzenia były nie do zrealizowania. Nie miała szans na trwały związek z Rafe'em. Zbyt wiele ich dzieliło. A poza tym, ten człowiek, który tak lubił flirtować, przekomarzać się z nią, miał całe trzy lata, żeby się w niej zakochać. I do tej pory to nie nastąpiło.

Więc już nie nastąpi.

Nie otwierała oczu. Udawała, że śpi, aby nie kontynuować rozmowy. Po jakimś kwadransie Rafe odezwał się:

- No, to jesteśmy. - Zatrzymał samochód.
- Rozejrzała się.
- Gdzie jesteśmy?
 - Niedaleko świetnej włoskiej restauracji. - Wysiadł i otworzył jej drzwi.
 - Nie jestem w nastroju na małe porwanie - burknęła.
 - To nie jest porwanie. Zabieram cię na kolację.
 - Nie przypominam sobie, żebyś mnie zapraszał.

- Gdybym cię zaprosił, odmówiłabyś. Słuchaj, widzę, że nie jesteś chora. Skłamałaś, żeby nie mówić, co cię trapi. Pewnie masz kłopoty sercowe. Ale ja potrafię słuchać. Nie musisz dusić wszystkiego w sobie. Może kiedy mi opowiesz, ulży ci.

Dobre sobie! Miałaby zwierzyć się jemu! Może tak: „Wiesz, gang Kellych zmusił mnie, żebym pomogła zrobić coś podejrzanego z komputerami waszej rodzinnej firmy”.

- Nie - odpowiedziała. - Dziękuję ci, ale nie. Poradzę sobie.

- Tego się po tobie spodziewałem. Wyglądasz, jakbyś miała wybuchnąć płaczem, ale nie zamierzasz opierać głowy na męskim ramieniu i tulić się, prawda? Dlatego pomyślałem, że zamiast tego zabiorę cię na kolację. Tony przyrządza świetne lasagne.

Zadrzała z podniecenia. Zagryzła wargi, żeby nie dać po sobie niczego poznać.

- Z pewnością wiele wiesz o kobietach, ale pewnie nie znasz się na damskim płaczu i jego skutkach terapeutycznych - powiedziała.

- Mam siostry. - Westchnął.

- Trzy siostry mogłyby cię przytłoczyć - gdybyś nie miał także pięciu braci.

- Siedmiu - jak się niedawno okazało.

Rzeczywiście. Rafe dorastał z pięcioma braćmi - w tym jednym przyrodnim - ale w zeszłym miesiącu okazało się, że istnieją jeszcze dwaj bliźniacy, spłodzeni przez Granta, zanim poznał swoją żonę, Emmę.

Szokująca wiadomość nie rozbiła bynajmniej rodziny Connellych. Wszyscy mieli silne charaktery. Czasem jeden czy drugi podnosił głos, złościł się - ale nie miało to wielkiego znaczenia. Nie wynikało z tego nic szczególnego. Ot, dąsy.

Charlotte zastanawiała się, jak to jest, kiedy ma się taką rodzinę - tak liczną i tak żywą. Zawsze ktoś może wysłuchać, pomóc. Jej ułożyło się inaczej...

- To jeszcze zwiększa przewagę mężczyzn.
- Daj spokój. Poznałaś moje siostry. Czy myślisz, że którykolwiek z nas, biednych chłopców, da radę z nimi wygrać? Zachichotała, mimo woli.
- Tak lepiej. - Podał jej rękę. - Chodź, Charlie. Zjedz coś, poczujesz się lepiej. Jeśli będziesz grzeczna, może nawet dostaniesz na deser tiramisu.

Leżała w stygnącej wodzie, przypominając sobie pękającą od klientów włoską restauracyjkę, chybotliwy stolik przykryty ceratą - i wyśmienite lasagne. Wypili butelkę wina, rozmawiali, przekomarzali się, sprzeczali. I zapomniała o swoich zmartwieniach, czy może specjalnie odsunęła je na bok, bezczelnie wykorzystując sposobność, aby na krótko poczuć się dobrze. Chłonęła chciwie przyjemne chwile.

Rafe odwiózł ją do domu, uparł się, że odprowadzi do mieszkania. W drzwiach pocałował ją i... Jej głupie, naiwne marzenie odrodziło się znowu. A ciało - zapłonęło żądzą.

Pamiętała wyraz jego oczu, dotyk dłoni we włosach. Ogarnęło ją poczucie, nadzieja, że...

„Charlie, mam ochotę wejść - powiedział. - Chcę spędzić z tobą noc. Ale, żeby wszystko było jasne - z tymi słowami gładził ją po głowie i szyi - to nic poważnego, tylko ta jedna noc. Nie liczymy na więcej”.

Wpuściła go. Wpuściła, mimo że rozwiązał jej nadzieje. Chciała przespać się z nim, a potem mieć co wspominać. Pograżyć się w chwilowej przyjemności.

Rafe był doświadczonym kochankiem, i namiętnym. Wyszedł jeszcze przed świtem. Udawała, że śpi, podczas gdy zbierał po ciemku swoje ubrania, a nawet kiedy nachylił się nad nią i leciutko ją pocałował. Nie chciała psuć atmosfery słowem, spojrzeniem, czymkolwiek. Zrobiłoby im się obojgu głupio.

Miała nie liczyć na więcej. Chciał z nią być tylko przez jedną noc, i ta noc mu wystarczyła. I tak związała ich ze sobą w sposób, którego się nie spodziewali.

Zostawił jej kartkę z wiadomością. Spaliła ją.

Westchnęła i sięgnęła po ręcznik. Pachniał trochę Rafe'em. Wytarła się szybko. Od tamtej pamiętnej nocy znacznie łatwiej było jej nie myśleć o nim. Ostatnio rzadko marzyła o czymkolwiek.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zeszła ze schodów. Rafe kroił grzyby. Wyjął steki z lodówki, gdzie się marynowały, i wyłożył na brytfannę.

- Umiesz gotować!
- Przecież powiedziałem, że zrobię steki.
- Ale pokroiłeś grzyby i warzywa; czuję oregano...
- Z warzyw będzie sałatka; oregano i rozmaryn są w marynacie, w której moczyły się steki... Włosy ci się kręca.
- Nie mogłam znaleźć suszarki.
- Nie mam. - Nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Wyglądała tak apetycznie po kąpieli...
- Widzę, że w kuchni masz porządek, wszystko poukładane na miejscach.
- Nie wiedziałem, że masz seksistowskie poglądy.
- Po prostu większość mężczyzn nie gotuje. To nie seksistowski pogląd, tylko fakt. Przecież w waszej posiadłości musiał być kucharz.
- Jeden z nich - miał na imię Abraham - dał mi świetną radę. Powiedział, że mężczyzna, który gotuje kobiecie, podnieca ją.

- Powinnam była wiedzieć! - zadrwiła Charlotte. Dołączyła się do krojenia warzyw.

- Ty też lubisz gotować? - Rafe zbliżył się i powąchał jej włosy.

- Czasami. Umiem posługiwać się nożem.

- Brzmi groźnie. I ekscytująco. - Uniósł pasemko wilgotnych włosów. - Czy masz ochotę włożyć skórzany płaszcz i powtórzyć to, co powiedziałaś przed chwilą?

Stłumiła śmiech.

- Czy ktoś powiedział ci już, że jesteś łatwym facetem?

- Ciągłe mi to mówią. - Puścił jej włosy i zaczął gładzić ją po szyi. - A czy tobie ktoś już powiedział, że masz skórę mięciutką jak płatki róży?

- Przestań!

Nie chciał przestawać. Miał ochotę pocałować ją u nasady szyi, a potem włożyć ręce pod jej dres i wy badać, czy nałożyła biustonosz. Miała takie piękne piersi! Chciał je znowu zobaczyć, smakować. Pożądał jej... trochę za mocno.

Cofnął się, z bijącym gwałtownie sercem. Doznał tak silnego wzrodu, jak gdyby się nie wycofał, tylko robił to, o czym marzył. To niedobrze, że ta kobieta tak ogromnie go podnieca. Odchrząknął.

- Czy wolno ci pić wino?

- Lepiej, żebym nie piła.

- To co chcesz do picia? Ja otworzę sobie wino.

- Dobrze. Najchętniej napiłabym się mleka, a jeśli nie masz - wody.

- Mam mleko. - Rafe był zdenerwowany. Odkąd prze-
spął się z Charlie, nie był w stanie o niej zapomnieć.
Wcześniej przekomarzał się z nią, ale nie umawiał, bojąc
się, że jest zbyt skomplikowaną kobietą, że niepotrzebnie
zwiąże się z nią uczuciowo. A teraz zaproponował jej mał-
żeństwo, a ona odmówiła!

- Sałatka gotowa - powiedziała.

- Jaka chcesz obrączkę?

- Czy dlatego tak się zasepiłeś, że myślałeś o obrącz-
kach? Nie martw się - nie wyjdę za ciebie.

Popatrzył na nią. Nie wyglądała teraz na tak niedostęp-
ną jak w biurze. Wiedział też, że w łóżku opanowanie ją
opuszcza. Postanowił jak najprędzej zobaczyć ją znowu
bez ubrania.

- Może w tej chwili tego nie planujesz, ale wyjdiesz
za mnie.

Jedzenie było wyśmienite, ale atmosfera niezręczna.
Milczeli oboje. Rafe zazwyczaj okazywał natychmiast
swoje uczucia, mówił. Teraz jednak był skryty. Kiedy
tylko zjedli, Charlotte uciekła do kuchni, zaofiarowawszy
się, że pozmywa. Wzruszył ramionami i odparł: „Miłej
zabawy”. Kiedy zamknęła drzwiczki zmywarki, usłyszała,
że Rafe bierze na górze prysznic. Zdecydowała więc, że
zostanie na dole.

Poczuła się zmęczona. Przetawiła kilka rzeczy na wła-
ściwe miejsca, a potem pomyślała, że chciałabym już wra-
cać do domu. Tęskniła do swoich sprzętów, do własnej

kuchni - choć była ponad dwa razy mniejsza niż kuchnia Rafe'a.

Pokręciła głową. Miała dwadzieścia sześć lat, od siedemnastego roku życia mieszkała i radziła sobie sama, a jednak tęskniła do domu.

Zszedł, ubrany tylko w spodnie od piżamy.

- I co tak stoisz? - zagadnął.

- Proszę, czyżbyś zdecydował się do mnie odezwać?

- Przepraszam za milczenie przy kolacji. Rozmyślałem.

- Tak trudno ci myśleć i mówić jednocześnie?

Przesunęła wzrokiem po jego włosach, twarzy, piersi. Trzymał jeszcze wilgotny ręcznik; przesunął nim po klatce piersiowej. Czy celowo?

- Zdenerwowałem cię?

- Tak. Podoba mi się ten błazen. Kupiłeś go w galerii?

- Nie, namalowała go specjalnie dla mnie malarka imieniem Maggie. Powiedziała mi, że ten błazen przypomina jej mnie.

- Ten zawadiacki, pewny uśmiech... Maggie musi dobrze cię znać.

- Rzadko znamy ludzi tak dobrze, jak nam się zdaje... - odparł wymijająco. Zbliżył się do niej. - Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego sprzedawałaś zawodowe tajemnice mojego ojca?

Charlotte poczuła skurcz w żołądku. Wyprostowała się.

Przyszło jej do głowy mnóstwo słów, ale nie była w stanie otworzyć ust.

- Ile ci płacili? A może był to szantaż? Mieli coś na ciebie? Cholera, jesteś mi winna wyjaśnienia!

- Może jestem je winna twojemu ojcu... - Nie widziała Granta Connelly'ego, odkąd zeznawała na policji. Będzie musiała w końcu się z nim zobaczyć. Zasługiwał na przeprosiny i wyjaśnienie mu wszystkiego, choćby znaczyło to niewiele. Miałyby też szansę powiedzieć jej, co o niej myśli...- Ale tobie nie jestem nic winna - zakończyła.

- Nie możemy pobrać się w sytuacji, kiedy dzieli nas ta sprawa.

- Co ty z tym małżeństwem? Zrozum, człowieku: nie wyjdę za ciebie.

Zdenerwował się i, wiedziony impulsem, złapał ją i zaczął całować. Chciała mu się wyrwać, ale nie pozwolił. Ogarnęło ją przerażenie. Ale jednocześnie i pożądanie... Ręka, która przytrzymywała jej głowę, puściła i zaczęła namiętnie pieścić jej szyję. A ona... rozluźniła się i... zaczęła całować jego. Czuła się tak wspaniale! Serce biło jej szybko. Pragnęła go, chciała kochać się z nim, teraz i zawsze, zawsze!

Wyrwała się nagle, zawstydzona - nie z rozsądku. Nawet nie zauważyła, że już nie przytrzymywał jej tak mocno.

Patrzył na nią płonącymi oczami.

- Charlie!... - Wyciągnął rękę. Powolutku. Oparł ją

delikatnie na jej policzku. - Jeśli miałaś zamiar uderzyć mnie nożem, nie musisz tego robić. Wystarczy mi, że patrzę teraz na ciebie i... Przepraszam cię.

- Nie podoba mi się sytuacja, w której nie mam wyboru, rozumiesz?! Nie masz prawa przyciskać mnie do siebie siłą i robić tego wszystkiego. Nigdy nie wiem, czego można się po tobie spodziewać!

- Ja też nie wiedziałem, że zrobię coś takiego... - Przesunął palcem po jej policzku. - Ciagle zaskakują mnie moje własne reakcje na ciebie.

Teraz pieścił ją łagodnie i przerażało ją to bardziej niż jego poprzednie zachowanie, ponieważ nie dała rady odebrać się od niego.

- Czego byś chciała, Charlie? Czy chcesz, żebym cię przeprosił? - Zbliżył się i pocałował ją delikatnie. - Przepraszam cię.

Teraz się cofnęła.

- Zdenerwowałeś mnie, ale nie zrobiłeś mi nic złego! - burknęła.

- Jak uważasz...

- I nadal mnie denerwujesz!

- To dlatego, że wywołuję w tobie inne odczucia, i to cię gniewa. Nasze małżeństwo będzie bardzo przyjemne, zobaczysz.

Westchnęła.

- Bądź rozsądny. Pięćdziesiąt lat temu samotna ciężarna kobieta być może faktycznie powinna była wyjść za męża dla dobra dziecka. Ale teraz to już niepotrzebne.

- Może nie jest konieczne, ale to najlepsze w takiej sytuacji. Ty też bądź rozsądna. Nie będę złym mężem. Mam pieniądze - a wiesz, jakie to ważne. Może nie powinno być aż tak ważne, ale tak już jest ten świat urzędowy - to, ile ma się pieniędzy, otwiera dziecku wiele możliwości albo je zamyka. Rodzice żyją spokojnie - lub w ciągłym stresie. Lubisz przecież dobre i drogie rzeczy. Nikt nie chce martwić się o nie zapłacone rachunki. Będę dbał o ciebie i dziecko.

- Dziękuję bardzo, ale sama muszę dbać o siebie.

- Do tego mam liczną rodzinę. Czasami wszyscy potrafią być denerwujący, ale to dobre dla dziecka, jeśli ma wujków, ciotki, "rodzeństwo cioteczne, dziadków...

To prawda. Charlotte nie była w stanie samodzielnie zapewnić dziecku licznych kuzynów.

- Twoi rodzice zaakceptują chyba twoje dziecko, niezależnie od tego, czy pobierzemy się, czy nie.

- Oczywiście! Kiedy im powiedziałem, że nosisz w sobie moje dziecko...

- Powiedziałeś im?! Kiedy? - Chciała dowiedzieć się, jak zareagowali, ale bała się o to zapytać.

- Kiedy tylko przyleciałem. Zapowiedziałem też, że ożenię się z tobą.

- Z pewnością bardzo ich to ucieszyło! Zwłaszcza twojego ojca!

- Nie sprzeciwiał się. Nasze dziecko będzie jednym z Connellych, niezależnie od tego, jakie będzie nosić nazwisko. Za to, jeśli się nie pobierzemy, ty nie będziesz

należać do naszej rodziny. Jak myślisz, jak w tej sytuacji może czuć się nasze dziecko? Raczej niezbyt dobrze.

Odwróciła wzrok.

- Mnóstwo dzieci ma rozwiedzionych rodziców... Nie wszyscy czują się z tym okropnie.

Dostrzegł, że zaczyna ją przekonywać. Złapał ją za ramiona.

- Ale bardzo często tak właśnie się dzieje - odparł.
- Nie możemy narażać naszego dziecka na takie cierpienia.

- Małżeństwo to także ryzyko - nawet w najlepszej możliwej sytuacji, a nasza jest bliska najgorszej.

- Człowiek ryzykuje przez całe życie. W każdym razie, jeśli się nie pobierzemy, nasze dziecko na pewno nie będzie miało normalnej rodziny, ojca i matki w jednym domu. Co mam zrobić, żeby cię wreszcie przekonać? Czego chcesz? Pieniądzy? Jeśli ci na nich zależy, możemy spisać specjalną umowę, która zagwarantuje ci bardzo poważną sumę.

Coś takiego! Dzięki, że przypomniałeś mi, co naprawdę o mnie myślisz. Czego mogłabym, według ciebie, chcieć, jeśli nie pieniędzy?!

- To co powiesz? - Do tego wszystkiego Rafe patrzył z pożądaniem, uwodzicielskim wzrokiem.

- Powiem, że jesteś idiotą, skoro chcesz ożenić się z kobietą, którą bardziej interesują twoje pieniądze niż ty.

- Uśmiechnęła się kpiąco. - Ale to twoja sprawa. Przemys-

śle swoją propozycję i odpowiem ci, kiedy tylko zdecyduję, ile konkretnie jest dla mnie warta.

Jest nic niewarta, zakończyła w myśli i odwróciła się. Tym razem, Rafe nie próbował jej złapać. Został na miejscu, podczas gdy wchodziła po schodach na górę, do jego sypialni.

Leżał w hamaku i wyglądał przez niezastłonięte okno. Obserwował światła miasta nocą. Tu był jego dom. Uwielbiał podróżować, poznawać nowe miejsca i rzeczy. Kochał zieleń łąk i ogrom falującego oceanu, potęgę gór i ciżbę pustyni. Ale tylko w Chicago czuł się u siebie. Po każdej podróży wracał do swojego miasta i cieszył się nim, jak dziecko wracające do kołyski.

Dziś jednak Chicago nie uspokajało go.

Całe życie widział w oczach patrzących na niego osób żądę pieniędzy. Wiązało się to w nieunikniony sposób z byciem jednym z Connellych. Nawet skądinąd przyzwyczajeni ludzie czasem widzieli w nim bardziej dziedzica ogromnej fortuny niż kogokolwiek innego.

W wieku ośmiu lat po raz pierwszy stwierdził, że niektórzy nie lubią go po prostu dlatego, że jego ojciec jest bogaczem. Był tym oburzony.

Tata tłumaczył mu, że większość ludzi musi przyzwyczaić się do tego, że ktoś, kogo poznają, jest bardzo zaoczny. Mówił, że ludzie zwykle zauważają najpierw to, czym człowiek różni się od innych - że jest czarny, ma piegi, jest gruby albo chudy jak patyk, ma ojca bogacza

lub dziwaczne nazwisko. I wtedy muszą przyzwyczać się do tego. Zazwyczaj udaje im się to, jeśli da się im czas. Tak mówił dziecku Grant Connelly.

Z biegiem lat Rafe stwierdził, że, ogólnie rzecz biorąc, to prawda. Jednak niektóre kobiety widziały w nim tylko człowieka, który może zapewnić im dostatnie życie i wprowadzić dzięki nazwisku na salony. Ciekawe, że nigdy nie wydawało się mu, że Charlotte należy do takich właśnie kobiet. Ale przyszło jej do głowy, że próbuje ją kupić, i teraz ta myśl nie dawała mu spokoju.

Jesteś idiotą, skoro chcesz ożenić się z kobietą, którą bardziej interesują twoje pieniądze niż ty. Czy rzeczywiście tak było?

Kiedy zaproponował jej umowę gwarantującą sumę, która zapewniłaby jej i dziecku bezpieczną przyszłość, myślał, że Charlotte czuje się bezradna. Pytała go przecież, czy będzie chciał odebrać jej dziecko, jeśli za niego nie wyjdzie. Chciał dać jej pieniądze, żeby nie martwiła się o przyszłość - ale tylko ją tym rozwścieczył. A sam nabrał co do niej wątpliwości.

Popełnił właśnie poważny błąd.

Nie mógł zasnąć; wiercił się na hamaku. Charlotte przezała go. Nie panował nad sobą w jej obecności; od początku bał się, że gdyby się do niej zbliżył, związałyby się z nią uczuciowo na stałe. Nie chciał tego, obawiał się tego, robił wszystko, żeby o niej nie myśleć. Cieszył się, że na kilka miesięcy wyjeżdża z Chicago.

Wiedział, co myślą kobiety o mężczyznach, którzy nie

dzwonią. Nie przebacząją tego. Mógł teraz mówić, co chciał. Oczywiście, gdy odezwał się po miesiącu, było za późno. Ale - może teraz on chciał z nią porozmawiać, i co? Nie oddzwaniała i miał prawo poczuć się zraniony. Trochę się poczuł.

Sytuacja była trudna. Nie ufali sobie. Uznała, że ją zranił, a sama z kolei zdradziła swojego pracodawcę, ojca Rafe'a. Co z nich będzie za małżeństwo, jeśli nie będą sobie ufać? Każde z nich miało zresztą ku temu poważny powód.

Rafe zawsze wyobrażał sobie, że jeśli kiedykolwiek się ożeni, chciałby, żeby jego małżeństwo było poważne, trwałe - tak, jak związek jego rodziców. Owszem, rodzice przeżywali kryzysy, ale wychodzili z nich tylko umocnieni. Niewielu parom małżeństwa tak się udawały. Zbyt wielu ludzi doprowadzały do zejścia na złą drogę, do szaleństwa czy po prostu unieszczęśliwiały. Dlatego też, między innymi, Rafe obawiał się związać się na stałe. Nie chciał ożenić się i tym samym popełnić strasznego błędu.

Zacisnął usta. Na razie próbował przekonać Charlotte, żeby za niego wyszła, ale mu się nie udawało. Pociągał ją seksualnie, ona jego także, i to ogromnie. Czasem miał ochotę potrzasać nią i wrzeszczeć, ale pociągała go nawet wtedy, kiedy był na nią wściekły.

Wiedział, że prędzej czy później znowu znajdą się razem w łóżku. Tylko jak sprawić, żeby mogli sobie zaufać? Westchnął. To będzie trudne.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby po prostu powiedziała mu wszystko - dlaczego zrobiła to, co zrobiła. Tak naprawdę, niewiele o niej wiedział. Nie mówiła mu nawet nigdy, że jej rodzice nie żyją; wyczytał to z jej dokumentów złożonych w firmie.

Cóż, co nieco zdołał się o niej dowiedzieć. Musiał przeprowadzić małe śledztwo, żeby ją odnaleźć. Czy wściknie się, gdy się o tym dowie? Miała trudne dzieciństwo. Ale nie musiała ze wszystkiego robić takiej tajemnicy!

Byli z Dixem w stanie dowiedzieć się więcej, choćby przeszukując dalej komputerowe archiwa policji. Nie chciał jednak robić czegoś takiego za plecami Charlotte. W ten sposób nie zdobywa się niczyjego zaufania.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W innej dzielnicy Chicago, na jedenastym piętrze jednego z dużych hoteli, mężczyzna o nazwisku Edwin Tef-teller rozmawiał właśnie przez telefon komórkowy. Edwin był drobnym mężczyzną - miał zaledwie metr sześćdziesiąt osiem wzrostu. Był za to szczupły, prosto się trzymał, dbał o siebie. Miał delikatną, okrągłą twarz, mały wąsik, rzadziejące blond włosy. Ubrany był w białą koszulę, ciemne buty, spodnie od garnituru, elegancki, tradycyjny, prążkowany krawat. Nosił okulary w oprawce od jednego ze znanych projektantów mody. To była jedyna ekstrawagancka rzecz, jaką pokazywał światu. Nikt nie wiedział, że okulary były zerówkami - nie miały szkieł optycznych.

Robił wrażenie zadbanego, spokojnego, dość zamożnego, uczciwego człowieka. Wielu ludzi, patrząc na niego, myślało sobie: „To pewnie księgowy”.

Mylili się.

Głos po drugiej stronie słuchawki powiedział:

- Lepiej, żeby pańska wiadomość była ważna. Jest wpół do drugiej w nocy. Moja żona wścieka się, kiedy budzi ją telefon.

- Nie dzwonię w sprawach błahych - odparł Edwin.
- Postąpił pan niezgodnie z naszą umową.

- O co panu chodzi?

Westchnął. Ci, dla których pracował, traktowali go jak zwykłe narzędzie. W sumie, była to nawet wygodna sytuacja. Gdyby zdawali sobie sprawę, ile o nich wiedział i czego się domyślał, mogliby być przerażeni. Nie doceniali go. Nie mógł jednak pozwolić, żeby uważali go za głupca.

- Zawarłem z panem umowę. Pracuję sam. Zawsze. Podkreśliłem to na początku.

- Pamiętam naszą umowę - warknął Jimmie Kelly. - A najbardziej wielkość zaliczki, której pan zażądał.

- Cieszę się. Może jest pan więc w stanie wytłumaczyć, dlaczego ten sam frajer, który spartolił pierwszy raz, został dopuszczony do realizacji mojej umowy?!

- Nie wiem, o czym pan mówi. Poza tym Palermo to nie jakiś frajer.

- A jednak nie udało mu się zabić Masters, i dlatego skontaktował się pan ze mną, czyż nie? - Nastąpiła chwila milczenia. - Spodobało się panu także, w jaki sposób uwolniłem pana od tego prywatnego detektywa. I mnie spodobało się, że mi pan zapłacił. Ale teraz jestem rozczarowany, że złamał pan warunki naszej umowy. Nie będę tolerował wtrącania się kogokolwiek do mojej pracy.

- Powiedziałem panu, że Palermo nie zajmuje się już Charlotte Masters! Jeśli moje słowo panu nie wystarczy...

- Dzisiaj o szesnastej czterdzieści trzy Rocky Palermo

próbował ją przejechać buickiem, rocznik 98. Jak mnie-
mam, skradzionym. Jeśli pański główny żołnierz nie dzia-
łał z pana polecenia, to znaczy, że przestał być zdyscypli-
nowany. To poważny problem.

- Jak cholera! - wybuchnął po małej chwili Kelly. -
Miał ją śledzić, żeby panu pomóc, a nie osobiście próbo-
wać ją zabić. Przemówię mu do rozumu.

- Lepiej, żeby pan to zrobił. - Edwin wiedział, że Pa-
lermo wykonywał po prostu rozkazy Kelly'ego. Rocky nie
był tak wykwalifikowanym zabójcą jak Edwin, ale głup-
cem także nie był. Bez wątpienia Kelly pomyślał, że jeśli
jego człowiekowi uda się zabić Masters, będzie mógł nie
zapłacić drugiej połowy stawki jemu, Edwinowi. Mylił
się.

- Przygotowałem się do zakończenia pracy jutro wie-
czorem, cicho, bez zamieszania. A pański Palermo zaalar-
mował ją. Teraz wie, że ją znaleźliśmy - i, oczywiście,
zniknęła. Stracę teraz mnóstwo czasu, zanim znajdę ją po
raz drugi. Nie będę tolerował ponownego złamania naszej
umowy, rozumie pan?

- Do diabła, przecież mówię ci, człowieku, że zajmę
się Rockym!

- Nie zdziwi się pan, oczywiście, że w tej sytuacji nie
podzielę się z panem obecnie posiadanymi przeze mnie
informacjami. Nie chciałbym eliminować pana Palermo,
ale jeśli znowu wejdzie mi w drogę, będę zmuszony to
zrobić.

Tym razem milczenie było dłuższe.

- Chcę, żeby nadal informował mnie pan o wszystkim.
- Powiadomię pana, kiedy będę gotowy do wykonania zadania. Nie powiem panu jednak, gdzie znajduje się cel.

Poprzednim razem to Edwin, a nie Kelly odnalazł Charlotte Masters. Najpewniej ta sytuacja miała się powtórzyć.

Kelly musiał ratować swój autorytet, wygłaszając kilka prostych żądań oraz zawołanych gróźb. Tefteller spokojnie pozwolił mu na to. Jego mocodawcy zawsze chcieli mieć poczucie, że kontrolują swoje narzędzie. Tak zresztą rzeczywiście było - dopóki postępowali z nim zgodnie z zawartą umową.

Schował telefon do teczki. Kiedy zabił detektyw, Kelly postąpił z nim uczciwie, a teraz próbował zaoszczędzić trochę dolarów. Zabawne. Można by pomyśleć, że jeden z najlepszych zawodowych morderców na świecie nie powinien się obawiać o swoje wypłaty, a jednak od czasu do czasu jego zleceniodawcom zdawało się, że mogą wystrychnąć go na dudka.

Nigdy nie zabił żadnego, nawet jeśli robili mu trudności. Mógłby potem stracić klientelę. Zamiast tego zbierał o nich informacje. Nie było łatwo zmusić Kellych do rzetelnej współpracy. Wystarczył jeden telefon na policję lub do Granta Connelly'ego, aby stracili znacznie więcej pieniędzy, niż wynosiła jego zapłata.

Ściągnął krawat i wyjął z teczki papiery. Na samym wierzchu znajdowało się zdjęcie Charlotte Masters. Miała wysoko zapiętą pod szyją elegancką bluzkę, schludną fry-

zurę. W ogóle lubiła porządek - widać to było po mieszkaniu, które opuściła.

Amatorzy denerwowali Edwina. Palermo był zawodowym przestępcą, ale to, że już kiedyś zabił, nie czyniło z niego zawodowego mordercy. Nie był strzelcem wyborowym. Chyba z powodu pychy spróbował strzału, jaki zaryzykowałoby niewielu lepszych od niego. Nic dziwnego, że mu się nie powiodło.

Tefteller dowiedział się wiele o Charlotte Masters - z jej mieszkania, dokumentów, zwyczajów. Była uczciwą, odpowiedzialną pedantką; miała jednak słabość - swojego młodszego brata, Brada. Od śmierci rodziców był dla niej utrapieniem. To przez niego rodzina Kellych zdołała nakłonić ją, żeby zdradziła tajemnice prezesa Connelly Corporation.

Ktoś zapukał do drzwi. Edwin schował papiery do teczki i wyjął z niej mały rewolwer. Spodziewał się hotelowej obsługi wraz z zamówionym obiadem. Ale nigdy nie miał pewności, kto wejdzie. Przykrył rewolwer ręcznikiem i podszedł do drzwi.

- Słucham?
- Obsługa. Przyniosłem panu obiad.

Otworzył drzwi. Pogodny kelner nie zdawał sobie sprawy, że trzymający ręcznik gość przez cały czas mierzy do niego z broni palnej. Wyszedł, dostawszy przyzwoity napitek. Edwin zasiadł do obiadu - łososia, pieczonych ziemniaków i sałatki z sosem.

Wystawiwszy tacę za drzwi, powrócił do studiowania

informacji o Charlotte Masters. Mógł jej szukać na kilka sposobów. Najbardziej obiecujący wydawał się ten, który przyniósł owoce za pierwszym razem. Należało obserwować jej brata. Prędzej czy później Charlotte skontaktuje się z nim.

A wtedy Edwin ją zabije. W przeciwieństwie do Rocky'ego Palermo był strzelcem wyborowym. Trafi ją w mózg, żeby umarła błyskawicznie i nie cierpiała długo. Nie zasługiwała na cierpienia. Wzbudzała w nim szacunek.

scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Charlotte wtuliła głowę w poduszkę, nie chcąc, żeby skończył się jej sen. Ale i tak się obudziła. Chciała zbierać się do biura, Spodziewając się w każdej chwili odgłosu budzika. Przez trzy lata ani razu nie spóźniła się do pracy. Otworzywszy oczy, uświadomiła sobie, gdzie się znajduje. Nie pracowała już w Connelly Corporation. Nigdzie nie pracowała. Nie spała nawet we własnym mieszkaniu. Straciła wszystko, o co przez tyle lat się starała.

Podniosła się z łóżka. Nie będzie się nad sobą użalać. Najlepiej jak pojedzie dziś do „Hole-in-the-Wall” po plecak i pieniądze. Bez niego miała tylko dwadzieścia dwa dolary i trzydzieści centów. Umyła się i ubrała w spódnicę i bluzę, którą dał jej Rafe. Zeszła na dół, przygotowana psychicznie na kłótnię - ale nie było go. Wcałe jej to nie zmartwiło. Kłótnia nie była jej do niczego potrzebna. Na-lała sobie mleka i usiadła przy telefonie, z książką telefoniczną na kolanach.

Rafe wrócił po półgodzinie. Zwykle poranny bieg uspokajał go, ale nie tym razem. Wszystko przez Charlie! Ściągnął bluzę i koszulkę, i ruszył na górę, pod prysznic.

Zobaczył, że drzwi sypialni są otwarte -. musiała wstać. Mógł więc podzielić się z nią swoimi frustracjami. Wszedł i zdumiał się, zobaczywszy tylko schludnie posłane łóżko i ładnie złożony dres. Wyszła gdzieś?! Skoczył do schodów.

- Charlie! - zawołał. - Jesteś?!

Cisza. Serce waliło mu jak młotem. Uspokoił się jednak siłą woli. Nie było widać śladów walki, porwania. Czy opuściła go, ponieważ wieczorem przycisnęła ją do siebie i zaczął całować? W każdym razie nie miała dokąd ani za co się udać.

Chyba żeby zabrała jego pieniądze. Skoczył z powrotem na górę. Jego portfel leżał tam, gdzie go zostawił poprzedniego dnia - na podłodze łazienki, obok spodni. Nie zaglądał do niego. Nie odkładałaby portfela na to samo miejsce na podłodze.

Nie miała pieniędzy, satmochodu, nawet ubrań - tylko to, co na sobie. I czyhał na nią zawodowy morderca.

- Cholera. Charlie, gdzie jesteś?!

Charlotte wcisnęła guzik domofonu i czekała. Miała nadzieję, że Rafe już wrócił. Gdyby stała przy domofonie zbyt długo, ubrana w jego za duży, skórzany płaszcz, ktoś z mieszkańców mógłby zadzwonić na policję. Przewiesiła swój plecak na drugie ramię.

- Słucham?

- To ja, Charlie. Byłam...

- Zostań tam na dole!

- Rafe? - Milczenie. Co teraz?

Chwilę później Rafe zbiegł ze schodów - z piątego piętra. Musiał być bardzo zdenerwowany.

- Boże, gdzie byłaś?! - Złapał ją za ramiona.

- Co się stało?

- Znikasz bez słowa i pytasz mnie, co się stało?!

- Nie krzycz.

- Krzyczę, bo nie wiedziałem, czy cię porwali, zabili, czy może nie! Nie zostawiłaś żadnej wiadomości!

- Jeśli mnie porwą lub zabiją, napiszę ci karteczkę. Zaraz wyrwiesz mi ramiona. Przecież ty też nie zostawiłeś wiadomości i wyszedłeś.

- Ale mnie nikt nie próbuje zabić!

Drzwi windy otworzyły się. Wyszła z niej chuda kobieta o niebieskich włosach; trzymała na smyczy wielkiego szczura. Nie, to chyba był pies, ale podobny do szczura. Popatrzyła podejrzliwie na Rafe'a.

Puścił Charlotte, wziął ją za rękę i pociągnął za sobą do windy, rzucając sąsiadce groźne spojrzenie. Szybko poszła.

Wjechali na górę, milcząc. Rafe chyba z wściekłości, zaś Charlotte - ze zdumienia.

Krzyczał na nią, zbiegł pędem ze schodów, jakby bardzo się o nią bał, jak gdyby niezmiernie mu na niej zależało. Dziwne. A przecież znikł po tym, kiedy spali ze sobą, i nie odzywał się przez miesiąc. Wprawdzie teraz znajdowali się w szczególnej sytuacji, ale mimo wszystko jego reakcja zaskoczyła ją.

Dziecko poruszyło się. No tak, Rafe bał się o nie, nie o nią. Po prostu naprawdę martwił się o swoje dziecko. Kiedy weszli do mieszkania, oznajmił:

- Zamierzam być twoim mężem, a nie wdowcem! Co ty sobie wyobrażasz? Co mogło być aż tak ważnego, że zaryzykowałam dla tego czegoś życie?

- To. - Pokazała mu plecak. - Nie ryzykowałam życia. Zadzwoiłam do Nikki - mojej...

- Tak ci zależało na tym plecaku?!

- Mam tam wszystko! Pieniądze, dokumenty...

- Chcesz pieniędzy? - Pobiegł po portfel i wyciągnął z niego plik banknotów. - Proszę. - Rzucił je. - Teraz masz już pieniądze. - Papierki rozsypały się w powietrzu. Charlotte stała bez ruchu, kolejny raz zaskoczona. Patrzyła na nią z wściekłością. Zrobiła krok naprzód, rozpięła plecak, ukłękła na podłodze i zaczęła po kolei układać na niej jego zawartość, opisując ją Rafe'owi:

- Oto, co było dla mnie takie ważne. Ulubiona książka mojej matki. Pieniądze - tak, były mi potrzebne. Uwierź mi, bogaty człowieku, bez dolara przy duszy trudno poradzić sobie na tym świecie... Dzienniczek z liceum. Notes z adresami. Album ze zdjęciami z dzieciństwa. Książka z bajkami, które babcia czytała mamie. W tym pudełeczku jest ślubna obrączka mamy, zegarek taty i kolczyki, które kupiłam za swoją pierwszą wypłatę. Tych wszystkich rzeczy brakowałoby mi bardziej niż pieniędzy. - Wysypała resztę- szczotkę do włosów, szczoteczkę i pastę do zębów, figi, skarpetki, poślacane pióro, które przed rokiem dał jej

w bożonarodzeniowym prezencie Grant... Otworzyła zewnętrzną kieszeń. - To mój akt urodzenia; a te dwieście trzynaście dolarów to wszystko, co pozostało z moich oszczędności. - Usiadła na piętach i popatrzyła w górę. - Nic więcej nie posiadam, na całym bożym świecie. I zaryzykowałabym życie, żeby odzyskać te przedmioty - ale nie musiałam. Zadzwoiłam do koleżanki z baru i poprosiłam, żeby podwiozła mi plecak. Spotkałyśmy się na stacji Irving Park, żeby nie wiedziała, gdzie teraz mieszkam.

Rafe patrzył ze swoistą fascynacją na leżące u jego stóp rzeczy. Skrzywił się, potarł dłonią twarz i popatrzył jej w oczy.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, czemu tak bardzo zależy ci na tym plecaku?

- A co? Czy to by w czymś pomogło? Przecież mówiłam, że koniecznie muszę go odzyskać.

Westchnął, przyklęknął i zaczął zbierać jej skarby, wkładając je ostrożnie z powrotem do plecaka.

- Następnym razem, jeśli będziesz musiała gdzieś wyjść - odezwał się cicho - nie wychodź sama. Nie chcę, żebyś w ten sposób ryzykowała. Pojadę, gdzie trzeba, z tobą, a jeśli nie będę mógł - znajdę kogoś. Hej... - uśmiechnął się - to dostałaś ode mnie.

Podniósł plastikową, półnagi hawajską tancerkę, którą przywiózł dla Charlotte z wysp.

- Przypominała mi ciebie - wyjaśniła. Zabrała mu pamiętkę z ręki i schowała do plecaka. - Jest tandetna, ordynarna i zbyt jednoznaczna.

Uśmiechnął się.

- Lubisz mnie... Możesz być na mnie wściekła, ale mnie lubisz. Gdybym ci się w ogóle nie podobał, nie nosiłabyś ze sobą... - Urwał, podniósłszy plik listów, związanych niebieską wstążką. Zabrała mu je.

- To osobiste listy. Nie wyczuwasz, kiedy naruszasz cudzą prywatność?

- Jeśli nie chcesz, żebym coś widział, nie powinnaś wykladać mi tego pod nogami. - Mimo wszystko pomógł zebrać jej resztę rzeczy. - Jeśli chodzi o te pieniądze, które rozrzuciłem...

- Słucham?

- To było dziecinne z mojej strony.

- Zgadzam się.

- Hmm... - Wstał i zaczął przechadzać się po mieszkaniu. Patrzyła na niego. Miał na sobie wytarte dżinsy i postrzępiony golf. Wyglądał w tym bardzo atrakcyjnie. Bardziej przypominał bezrobotnego statystę niż dziedzica wielkiej fortuny. Westchnęła i zapięła plecak. Rafe przystanął nagle i odezwał się.

- Chodzi mi o to... Nie chcę, żebyś myślała... To znaczy, po tym, co powiedziałem wczoraj wieczorem, mogłaś pomyśleć, że... Słuchaj, ja nie rzuciłem w ciebie pieniędzmi dlatego, żebym próbował cię kupić, do licha!

- Wiem. Jesteś idiotą, ale nie aż takim.

Zacisnął usta.

- Jak ty to robisz?

- Co?

- Ja stoję, ty kucasz, a i tak patrzysz na mnie z góry!
- To trzeba mieć wrodzone. - Wstała i zrzuciła z siebie jego płaszcz. - Skoro nie chcesz, żebym wychodziła, może zechciałbyś pójść po zakupy. Twoje bluzy są bardzo wygodne, ale średnio na mnie leżą.

- Możemy wybrać się po zakupy, ale nie dzisiaj.

- Nie może być tak, że ty decydujesz o wszystkim. Nie chodzi mi o jakiś wielki objazd sklepów, ale o kupno podstawowych rzeczy. Nie mogę chodzić ciągle w tym samym ubraniu. Poza tym przydałyby mi się witaminy dla ciężarnych kobiet.

- Są jakieś specjalne? - zainteresował się.

- Tak. Mieszanki witamin i minerałów potrzebnych dziecku.

- Cholera. To mi nie przyszło do głowy. Za kilka godzin przyjedzie Dix, przywiezie trochę twoich rzeczy. Kazałem mu zabrać wszystkie twoje buty - wiem, że kobiety przywiązują do nich wagę, przynajmniej moje siostry. Ale o witaminach dla ciężarnych kobiet nic mu nie mówiłem. ..

- Dix przywiezie moje rzeczy? - upewniła się Charlotte.

- Wpadnie dzisiaj do twojego starego mieszkania. Nie do tej kawalerki, w której mieszkałaś ostatnio. Do mieszkania, w którym... gdzie byłaś wcześniej.

O mało nie powiedział: „w którym się kochaliśmy”. Zacisnęła usta.

- W jaki sposób Dix dostanie się do środka?

- Nie powinien mieć z tym kłopotów... Mogę kazać mu kupić zestaw witaminowy dla kobiet w ciąży. Czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Chyba nie. Nie pozbierasz tych pieniędzy?

- Zastanawiam się, w jaki sposób dać ci trochę, żebyś nie rzuciła mi nimi w twarz.

- Ja nie rozrzucam pieniędzy. Daj mi jakiś ciężki przedmiot, to zobaczysz, czy nim dostaniesz.

Parsknął i zaczął zbierać banknoty. Patrzyła na niego i myślała: To niepojęte. Nic nie robi, a i tak mam ochotę na seks z nim. Czy to on jest taki wyjątkowy, czy to moje hormony? Poszła odwieść płaszcz.

- Co powiedziałaś przyjaciółce? - spytał. - Tej, która przywiozła ci plecak.

- Nikki widziała wczoraj, jak wyciągasz mnie z baru, więc musiałam wyjaśnić jej jakoś twoje zachowanie. Zmyśliłam historyjkę o dwóch chłopakach, z którymi się spotykałam. Biednym, ale poczciwym, z którym zerwałam przed podjęciem pracy w „Hole-in-the-WaU”, i bogatym, agresywnym, przed którym się ukrywam.

- Którym byłem ja?

- Tym biednym i poczciwym. Powiedziałam, że masz kompleksy i że zerwałam z tobą, bo byłeś zbyt zazdrosny. Nikki bardzo spodobała się ta historyjka.

- Czy pomyśl z bogatym i agresywnym chłopakiem miał na celu wyjaśnienie jej, że w barze może pojawić się ktoś, kto będzie cię szukał, a nie powinien znaleźć?

- Właśnie.

- Nie byłbym aż tak naiwny. Twoja koleżanka może milczeć, ale inni też widzieli mnie w barze.

- Dlatego powiedziałam jej, że zabierasz mnie z powrotem do Jamestown, w stanie Nowy Jork. Stamtąd pochodzisz. Nikki to dobra dziewczyna, ale po prostu nie potrafi zachować niczego w tajemnicy. Przekaze ją jednej czy dwóm osobom i szybko cały bar będzie wiedział o naszych romantycznych przygodach. Ewentualny morderca dowie się w „Hole-in-the-Wall”, że wyjechałam z Chicago.

- To może okazać się skuteczne... Pomyślałem o jeszcze jednej fałszywej plotce. Byłoby dobrze, gdyby ludzie myśleli, że ojcem twojego dziecka jest... mój ojciec.

- Co?! Nie ma mowy! Absolutnie się nie zgadzam.

- Rodzina Kellych wie, że jesteś w ciąży. Łatwo im się domyślić, że znajdą cię, śledząc ojca dziecka. Nie chcę, żeby naprawdę cię znaleźli. W końcu byłaś sekretarką mojego ojca..:

- Asystentką.

- Wszystko jedno. Chodzi o to, że uwierzą w taką wersję. Zwłaszcza że mój ojciec nie był niewiniątkiem.

Wiedziała, o czym mówi Rafe. Oprócz bliźniaków - dwóch dorosłych synów Granta, którzy ujawnili się ostatnio - był jeszcze Seth Connelly. Emma i Grant wychowywali go, odkąd miał dwanaście lat. Grant spłodził go z sekretarką, z którą miał romans. Plotka głosiła, że podówczas byli z Emmą w separacji, a ich małżeństwo było zagrożone, jednak ostatecznie przetrwało.

Sekretarka nazywała się Angie Donahue. Przed osiemnastoma laty zrzekła się praw rodzicielskich do Setha i słuch o niej zaginął. Ale ostatnio pojawiła się znowu, niestety... Była bratanicą szefa organizacji przestępczej rodziny Kellych, jej ojciec także dużo w niej znaczył.

- Rafe, to było dawno temu - odparła Charlotte. - Przysięgam ci, że stosunki twojego ojca ze mną były od początku do końca wyłącznie zawodowe i że traktował mnie z szacunkiem.

- Wiem! Ale rodzina Kellych tego nie wie. Biorąc pod uwagę historię Angie, uwierzą w naszą opowieść. I być może będą szukać tam, gdzie cię nie będzie.

- Ale twoja matka nie zasługuje na to, żeby znowu przeżywać koszmar...

- Dzwoniłem już do matki dziś rano i...

- Coś ty?!

- I do babci. Trzeba się czasem poświęcić. Mama wie, jak rozegrać tę sprawę. Będzie wszystkiemu zaprzeczała. Uważa, że to wzmocze tylko plotki - a z drugiej strony, sprawa zostanie potem zapomniana. Kiedy się pobierzemy, wszyscy będą mówić, że od początku nie dawali wiary historyjce z moim ojcem. - Rozbrzmiał sygnał domofonu. - Zaczekaj chwilę... - Rafe wcisnął guzik, posłuchał i odpowiedział: - Tak, wróciła. Też tak myślałem. Niech pan wchodzi.

- Kto to?

- Lucas Starwind.

- Detektyw, którego zatrudnił twój ojciec?

- Tak. Kiedy rano zniknęłaś, zadzwoniłem do niego, żeby pomógł mi cię znaleźć. I tak miał dzisiaj przyjść. Rozgryzamy wspólnie pewne sprawy.

- Jakie?

- Próbujemy dojść do tego, o co chodzi Kellym.

- Pewnie chcecie znaleźć zmiany, których dokonał w systemie Connelly Corporation ten informatyk z Broderton Computing? Sama spędzałam w biurze całe weekendy, żeby to stwierdzić, ale nie udało mi się. Czy wpadliście na jakiś ślad?

- Jakiś. - Rafe patrzył dziwnie.

- Chciałam naprawić wszelkie szkody, jakie mogłam spowodować. Może samo próbowanie się nie liczy - ale próbowałam.

- Później porozmawiamy. - Starwind zapukał do drzwi. Rafe popatrzył przez wizjer i wpuścił go.

- Zna pan Charlie, prawda?

- Poznaliśmy się. - Detektyw zbliżył się. Był wysoki - odrobinę wyższy od Rafe'a, miał ciemne włosy i oczy, i chmurną twarz. Charlotte widziała go dwukrotnie, kiedy zносиła prezesowi raporty. Nie polubiła Starwinda. Był zbyt chłodny, małowówny, tajemniczy... Zbyt podobny do mnie, pomyślała ze smutkiem.

Popatrzył na nią baczny wzrokiem.

- Dzień dobry pani. Trudno panią odnaleźć. Jak na amatorkę, potrafi się pani ukrywać.

- Nie dość dobrze. Napije się pan czegoś czy przejdziemy od razu do przesłuchania?

- Napiłbym się kawy. - Starwind zwrócił się do Rafe'a: - Jak pan ją znalazł? Co się stało?

- Nie znalazł mnie - wtrąciła, zirytowana, że rozmawiają o niej, jakby jej tu nie było. - Sama wróciłam.

- Chodzi mi o to, jak pan Rafe znalazł panią wczoraj. Proszę o czarną, bez cukru.

Charlotte chciała mu odpowiedzieć, żeby sam sobie zrobił, ale Rafe położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

- Spokojnie. - Popatrzył na nią, potem na detektywa.

- Wasza kłótnia byłaby pewnie zabawna, ale mamy dużo do omówienia. Ja zrobię kawę.

scandalous

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Charlie robiła kawę. Rafe pokręcił głową. Natychmiast, kiedy powiedział, że się tym zajmie, przejęła inicjatywę. Taki miała charakter.

- Przepraszam - odezwał się Starwind. - Zdenerwo-
wałem ją. A ona ma cięty język, prawda?

- Rzeczywiście, potrafi się bronić i kontratakować.
Czy ma pan jakieś nowe wiadomości?

- Nic ważnego. Czy jest pan gotów... - Detektyw
zerknął w stronę kuchni. - Nieważne. Może pan opowie-
dzieć mi o własnych postępach później.

Rafe skrzywił się. Nie lubił tajemnic tak, jak Starwind,
jednak będzie musiał skrywać co nieco przed Charlotte.

- Usiądźmy.

Przeszli przed kominek.

Powinienem powiedzieć mu wszystko, stwierdził Rafe.
Oprócz tego, że oświadczyłem się Charlie - to nasze sprawy osobiste. Co to za listy miała w plecaku? Pewnie mi-
łosne, skrzywił się. Od jakiegoś Brada Fowlera. Widział
też adres nadawcy. „Więzienie Deer Lodge”.

Czy to z powodu tego Brada Charlotte współpracowała

z rodziną Kellych? Rafe mógł łatwo dowiedzieć się, co to za typ, ale nie chciał grzebać w przeszłości Charlotte.

Zerknął na drzwi kuchni - stanęła w nich i stała z założonymi rękami. Słuchała, podczas gdy opowiadał detektywowi, jak ją znalazł, a także o samochodzie, który omal jej nie przejechał, i o jej dzisiejszym zniknięciu. Zastanawiał się, czy nie powinien, powiedzieć także o liściach, ale zdecydował, że woli, aby to Charlotte opowiedziała mu o nich i o Bradzie Fowlerze.

- Czy woli pan wysłuchiwać wszystkiego od osób trzecich? - odezwała się do detektywa, podając mu kawę.

- Czy też chciałby pan zadać jakies pytania również mnie?

- Mam do pani pytania. Jest pani gotowa odpowiadać? Zerknęła na Rafe'a.

- Zależy, o co pan spyta.

- Dlaczego rodzina Kellych chce panią zabić?

Drgnęła, omal nie rozlewając gorącej kawy.

- Spokojnie, niech pani usiadzie.

Usiadła.

- Przypuszczam, że chcą się zemścić - odparła. - Strzelali do mnie, gdy wychodziłam z siedziby policji, więc pewnie myślą, że zeznałam tam wszystko, co wiem.

- Jest pani koronnym świadkiem w sprawie Angie Donahue.

- Zapewne... - Wcale jej to nie cieszyło. Rafe'a też nie.

- Czy jest pani w stanie zidentyfikować kogokolwiek z nich oprócz Angie?

- Nie. Kontaktował się ze mną tylko jeden mężczyzna - poznałabym go po głosie, ale nie widziałam go. Porucznik Johnson z policji powiedział, że rozpoznanie głosu nie może służyć za dowód sądowy.

- W jaki sposób ów mężczyzna kontaktował się z panią?

- Wyjaśniałam już to wszystkowi porucznikowi Johnsonowi.

- Ktoś z policji postanowił utajnić pani zeznania. Wiemy tylko, że podesłała pani informatyka, którego kazała pani zaproponować rodzinie Kellych, i zamieszkała pani w całą sprawę Angie Donahue.

- Nie wiem nic, co by wam pomogło.

- Charlie - wtrącił się Rafe - powiedziałaś, że przez wiele weekendów starałaś się zlikwidować to, co pozwoliłaś im zrobić, i nie byłaś w stanie. Ułatw więc teraz nam naprawienie wszystkiego.

Popatrzyła mu w oczy i skinęła głową.

- Dobrze, chociaż wątpię, żeby wam to pomogło. Pierwszy raz odezwali się do mnie w maju. Wraciałam wtedy do domu, szybko - bo było już ciemno. Nie bałam się, bo na ulicy było sporo ludzi. Nagle podszedł do mnie z tyłu jakiś mężczyzna... Powiedział, że ma pistolet, że bym szła prosto i nie odwracała się. Poleciał mi skierować do Connelly Corporation pewnego informatyka, który miał zająć się systemem komputerowym firmy. Mówił... Oczywiście, odmówiłam.

- Naprawdę?

- Tak - na początku. Wróciłam do domu z zamiarem zadzwonienia na policję. Ale odkryłam, że był w moim domu i zostawił coś, co sprawiło, że nie zatelefonowałam.

- Co takiego?

Pokręciła głową.

- Charlie, na litość boską! - zniecierpliwiał się Rafe.
- Jeśli cię szantażują, powiedz nam, w jaki sposób, żebyśmy mogli ci pomóc. - Żebym wiedział, czy mogę ci ufać, dodał w myśli.

- Już mnie nie szantażują. Policja poradziła sobie z tym.

- Musimy jednak wiedzieć, w jaki sposób nakłonili cię do współpracy - nie ustępował Rafe. - Muszę to wiedzieć.

- Zagrozili, że zabiją... kogoś ważnego dla mnie. - Spuściła wzrok. - Nie mogę powiedzieć wam więcej. Przepraszam, ale nie mogę.

Rafe był sfrustrowany.

Starwind przesłuchiwał ją dalej, przez prawie godzinę. W końcu doszedł do wniosku, że Charlotte faktycznie nie wie nic ważnego. Nie można było na podstawie jej zeznań dotrzeć do żadnego z przestępców, poza Angie Donahue. A ona nie chciała mówić.

- Mam za to dobre wiadomości dla pani - oznajmił detektyw. - Skoro nie wie pani nic, co mogłoby osobiście zagrozić Kellym, zamordowanie pani nie jest dla nich aż tak ważne. Być może najlepiej, żeby pani tu na razie została. Policja jest zdania, że próbował panią zabić Rocky Palermo.

Kto to?

- Główny „żołnierz” organizacji Kellych. Wykonuje dla nich brudną robotę. Policja ma go na oku - co nie znaczy, że nie powinna pani uważać. Samotne wypadki - takie jak dzisiejszy - są wykluczone. Poza niebezpieczeństwem ze strony Kellych grozi pani aresztowanie. Wydano nakaz.

- O Boże! - Charlotte pobladła.

- Nie wiedziała pani?

- Nie! Mówili - to znaczy, porucznik Johnson mówił - że pan Grant Connelly nie chce wnosić przeciwko mnie skargi. Powiedział... - Zadrżała i zasłoniła usta, jakby miała zwymiotować. Rafe oparł jej dłoń na ramieniu.

- Nie martw się. To rutynowe postępowanie, ponieważ zniknąłś - a jesteś świadkiem.

- Policja nie lubi, kiedy główny świadek znika - dodał Starwind. Popatrzył na Rafe'a. - Ani kiedy ktoś ukrywa osobę, której nakaz aresztowania wydano...

- Niech pan przestanie!

- Nie próbuję pani straszyć. W każdym razie, jest rozwiązanie. Można posłać na policję dobrego adwokata, żeby przekonał ich do wycofania oskarżenia, w zamian za pani obietnicę, że na wezwanie stawi się pani jako świadek na rozprawie. Ja nie mogę tego zrobić. Ale adwokat może działać w imieniu pani, nie narażając się na kłopoty z powodu nieujawniania jej miejsca pobytu.

- Nie mam pieniędzy na adwokata - powiedziała Charlotte.

- Opłacę go - zadeklarował Rafe, ujmując jej dłoń.
- Proszę cię, nie sprzeciwiaj się.

Spojrzała na złączone dłonie i powiedziała z determinacją w głosie:

- Oddam ci.
- Nie. To inwestycja. Nie chcę, żeby moje dziecko poszło do więzienia jeszcze przed urodzeniem.
- Skoro tak mówisz... Dobrze. Tym razem zrobimy tak, jak ty chcesz. Tylko żebyś nie myślał, że tak będzie zawsze.

- Broń Boże. - Rafe uśmiechnął się szeroko.

Zadzwoił domofon. Uśmiech znikł.

- To Dix - wyjaśnił Rafe. - Czy mógłby pan go wpuścić?

- Dobrze. - Detektyw ruszył ku drzwiom.

- To twój kolega haker, który pomógł ci mnie odnaleźć? - upewniła się Charlotte.

- Tak. Słuchaj... Cholera. Nie wiem, jak to zrobić, żeby było dobrze. Muszę poprosić cię, żebyś zaczekała tutaj, podczas kiedy będziemy pracować na piętrze, w moim biurze.

Zdziwiła się, a potem zrozumiała, o co chodzi, i zdenrowowała się.

- Oczywiście - powiedziała bezbarwnym tonem. - Zajmiecie się badaniem systemu komputerowego Connelly Corporation. Może porobię sobie na drutach, podczas kiedy będziecie pracować...

- Od tej sprawy zależy los tylu osób...

- Jasne. Nie możecie dopuścić, żebym widziała, co robicie, bo to ja jestem odpowiedzialna za cały problem!

- Nie jesteś - zaczął tłumaczyć się Rafe. - To rodzina Kellyeh jest odpowiedzialna. Ty jesteś tylko...

- Ich współniczką. Choć twój ojciec był na tyle uprzejmy, że nie wniósł przeciwko mnie oskarżenia.

- Jedzie - odezwał się Starwind. Popatrzył na Rafe'a i Charlotte. - Czy coś się stało?

- Skądże - odparła.

- Tak, to znaczy nie - płątał się Rafe. - Charlie będzie dzisiaj pracować razem z nami.

Na twarzy detektywa nie drgnął nawet jeden mięsień.

- To rzeczywiście może oznaczać kłopoty... - stwierdził po chwili.

Charlotte przyzwyczała się, że Rafe używa zdrobniałej wersji jej imienia. Może nawet zaczynało jej się to podobać?

- Masz dwa duże komputery i jeszcze laptopa? - zdziwiła się głośno. - Mężczyźni i ich zabawki!

Usiadła na podłodze, przed laptopem, który ustawiła na stosie wydruków. Rafe zasiadł za zastawionym sprzętem biurkiem - między innymi stały na nim aż trzy monitory, na których obecnie widniały trzy różne fragmenty tekstu zapisanego jakimś komputerowym kodem. Pod biurkiem stały dwa komputery, płątanina kabli łączyła je z dwoma skanerami i trzema drukarkami.

- Laptopa używam w podróży - tłumaczył spokojnie.

- Jednym komputerem posługuję się, gdy łączę się z Internetem, drugiego używam do pracy, której nie chcę udostępniać całemu światu. Jest zbyt wielu ciekawskich, ludzi podobnych do Dixy.

- Ee tam - mruknął Dix, który usadowił się na fotelu w kącie. - Wcale nie podobnych - ja jestem najlepszy.

Charlotte zaczynała lubić Dixy. Nie protestował, kiedy Rafe oznajmił, że będą pracować razem z nią. Starwind przed wyjściem jeszcze raz poradził, żeby nie dopuszczać jej do śledztwa. Może nie powinna winić go za podejrzliwość? W każdym razie podał nazwisko adwokata, który mógł w jej imieniu występować przed policją, i obiecał się z nim skontaktować. Z drugiej strony, nie musiała z tego powodu ani lubić Starwinda, ani nawet mu ufać.

Za to Rafe jej ufał, pomimo wszystko. Cieszyła się tym niezmiernie.

- Charlie, czy wiesz, co należy przeszukiwać? - spytał.

- Chyba tak. Pliki otwierane po godzinach pracy, a także związane z często używanymi kodami dostępu. Tak robiłam sama; wy ograniczyliście tylko obszar moich poszukiwań.

- Świetnie. Gdybyś miała pytania, zwracaj się z nimi do Dixy. Chłopak lubi się popisywać.

Zaczęli pracę. Nie znaleźli na razie niczego konkretnego, chociaż wyodrębnili kilka podejrzanych obszarów systemu. Nie wiedziała, co dokładnie robi Rafe, ale używał specjalnego programu, który sam pisał. Mówił o tym spe-

cialistycznym żargonem, którego nie rozumiała. Mogła jednak robić swoje.

O drugiej miała już dość. Bolały ją plecy i burczało jej w brzuchu. Mężczyźni jakoś jeszcze wytrzymywali. Ziewnęła, przeciągnęła się i oznajmiła:

- Nie wiem, jak wy, ale ja jestem głodna.

- Jeśli chcesz się zaofiarować, że zrobisz coś do jedzenia, jestem za - odparł Dix. - Nie jestem wybredny. Zjem wszystko, czego nie będę musiał sam gotować.

- W takim razie zrobię kanapki. Rafe?

- Dobrze... - mruknął, nie odrywając wzroku od monitora.

- Rzuć w niego czymś - poradził Dix. Podniosła zgniecioną kartkę papieru i rzuciła nią w Rafe'a. Trafiła go w szyję. Machnął ręką, jakby opędzał się od muchy, i dalej stukał w klawiaturę. Charlotte roześmiała się.

Przerwał.

- Za rzadko to robisz - powiedział.

- Co - za rzadko rzucam czymś w ciebie?

- Nie, za rzadko się śmiejesz. - Obrócił się z fotelem.

- Zrobiłabyś kanapki?

- Proszę, słyszałaś!

- Słyszysz, co się do mnie mówi, kiedy pracuję; nie chcę tylko przerywać biegu myśli.

- Dokąd dobiegły? - spytała z uśmiechem.

- Sam nie wiem. - Wstał i przeciągnął się. - Ja też zrobiłbym już sobie przerwę. Sam zrobię kanapki, a ty schowaj ubrania, które przyniósł ci Dix.

- Dokąd mam je schować? Musiałbyś opróżnić dla mnie parę szuflad i jakąś przestrzeń w szafie. Miałeś to zrobić, pamiętasz?

- To przełóż część moich rzeczy. Lepiej ode mnie znajdziesz dla nich odpowiednie miejsca. - To powiedziawszy, Rafe zaczął dyskutować z Dixem językiem informatyków.

Charlie zeszła na dół, uśmiechając się pod nosem. Była ciekawa, czy któryś z nich przypomni sobie, żeby zrobić kanapki.

Na podłodze sypialni leżały dwa wypchane ubraniami worki na śmieci. Tak pakują się mężczyźni! - pomyślała. Zastanawiała się, czy Rafe w ogóle ma żelazko. Nie stać jej było na wysłanie wszystkiego do pralni tylko dlatego, że było pogniecione. I tak zresztą część ubrań nie będzie już pasować... Położyła dłoń na brzuchu. Dziecko poruszyło się.

Poczuła jeszcze coś - nadzieję. Może mieli z Rafe'em szansę na wspólną przyszłość? Nie była tego pewna. Ale chyba wybaczył jej współpracę z gangiem Kellych, nie wiedząc nawet, w jaki sposób nakłonili ją do niej. I chyba przebaczył jej także, że nie powiedziała mu od razu o dziecku. Może... Być może Rafe'owi naprawdę na niej zależało? Troska to jeszcze nie miłość - ale na początek lepsze to niż nic.

Ufał jej. I - tak, wierzył jej. Poczuła coś na kształt nadziei. Na... szczęście.

Rozwiązała jeden z worków. Buty. Wszystkie jej buty,

a także dzinsy i swetry. Zaczęła wyjmować rzeczy i układać je w równe stosiki.

Własne ubrania przywiodły jej na myśl Brada, drogą skojarzeń. Nie potrafiła powiedzieć, czy zrobiła w życiu dla swojego brata zbyt wiele, czy też za mało. Czy była wobec niego zbyt surowa, za często prawiła mu kazania? Albo mówiła nie to, co trzeba? Bardzo się od siebie różnili. Brad był taki niestabilny psychicznie! Łączyło ich zamiłowanie do pięknych przedmiotów. Gdyby sama była w stanie opanować pragnienie posiadania wielu rzeczy materialnych...

Pokręciła głową i dalej rozpakowywała worki. Przebrała się we własne spodnie i sweter. Czasem potrafiła przekonać siebie samą, że to nie przez nią Brad zszedł na złą drogę, że w żaden sposób nie była w stanie temu zapobiec. W końcu to on dokonywał wyborów. Czasem jednak myślała inaczej. W każdym razie ich rodzice umarli, kiedy była jeszcze bardzo młoda, i jeśli popełniła potem jakieś błędy w opiece nad Bradem, nie mogła już ich naprawić.

On sam popełniał bez wątpienia większe błędy. Nie miała co do tego wątpliwości. Kiedy zaczął, był jeszcze bardzo młody, ale zdawał sobie przecież sprawę z konsekwencji swoich czynów. Można go już było karać jak dorosłego. Obecnie płacił za swoje błędy - ale uważała, że nie powinien płacić za nie życiem.

Porucznik Johnson dotrzymał słowa. W zamian za jej zeznanie zdołał doprowadzić do przeniesienia Brada do innego więzienia. Teraz nawet Charlotte nie wiedziała,

gdzie jest. Wiedziała za to, że Johnson trzyma tę informację w tajemnicy. „Niech pani nikomu nie mówi, że został przeniesiony - ostrzegł. - Gdyby ktoś od Kellych go znalazł, zamordowaliby go”.

Nietrudno było dochować tej tajemnicy - aż do teraz... Charlotte przeprowadziła się do Chicago po tym, jak skazano Brada na karę więzienia. Nikt w tym mieście nie wiedział o istnieniu jej brata. Tak wydawało jej się łatwiej, niż gdyby musiała odpowiadać wszystkim na setki pytań na jego temat. Poza tym wstydziła się go. To znaczy właściwie nawet nie samego Brada, ale własnego pochodzenia społecznego. Chciała jak gdyby zbudować w Chicago swoją osobę na nowo, od podstaw. A teraz...

Teraz myślała, że jest w stanie opowiedzieć Rafe'owi o swoim bracie. Wcześniej nie ufała mu na tyle. Oczywiście nie bała się, że Rafe wyda Brada Kellym, ale nie wiadomo było, co zrobi. Zawsze robił to, co sam uważał za najlepsze, nie zważając na innych. Dobrym tego przykładem był sposób, w jaki wyciągnął ją poprzedniego wieczora z „Hole-in-the-Wall”.

Powiedział też wszystko detektywowi Starwindowi. Nie ufała zbytnio temu ostatniemu. Nie była go pewna. W każdym razie nie chciałyby sprawić, żeby życie jej brata zależało od Starwinda. Rafe powiedział też chyba wszystko Dixowi. Jemu mogłyby ufać i ufałyby, gdyby chodziło tylko o nią. Tak, gdyby życie Brada nie było zagrożone, powiedziałyby Rafe'owi wszystko.

W końcu on powiedział to samo, kiedy nie chciał do-

puścić jej do pracy przy komputerach. „Od tej sprawy zależy los tylu osób...”

A jednak zabołało ją. Czy raniła go, nie chcąc w pełni zaufać jemu?

Zagryzła wargi i przypomniała sobie, jak wspaniale się poczuła, kiedy zmienił zdanie i zdecydował się jednak jej zaufać. Przypomniała jej się nadzieja. I dziecko poruszyło się znowu. Podjęła decyzję, wstała i wypadła z pokoju.

Powiem mu, pomyślała, powiem, ale najpierw wymogę na nim obietnicę, że nie powtórzy nikomu - ani Dixowi ani Starwindowi, ani nawet ojcu. Być może Rafe'owi się to nie spodoba, może będzie próbował ją przekonać, że lepiej im powiedzieć. Ale jeśli da słowo - dotrzyma go. Była tego pewna.

Biuro było puste. Uśmiechnęła się - pewnie nie zapomnieli o kanapkach. Zeszła ze schodów. Nie usłyszeli jej. Za to jej uszu dobiegł głos Rafe'a:

- Cholera, Dix, nie męcz mnie! - Sprzeczekali się.
- Nie podoba mi się to i już - odparł Dix. - To urocza mała dziewczynka. Nie podoba mi się, żeby ją okłamywać
- Nie okłamałem jej.

Dix parsknął ironicznie.

- Nie, ale omijałeś prawdę, jak tylko mogłeś. Ona nie ma pojęcia, co się dzieje. Wydaje jej się, że naprawdę coś robi, przeglądając te kody dostępu.

- W ten sposób znaleźliśmy ślad. Jeśli ona też go znajdzie... Muszę wiedzieć. Jeśli zwróci uwagę na to samo co my...

- To znaczy, sprawdzasz ją?

Charlotte nadstawiała uszu i szła dalej. Zatrzymała się w drzwiach kuchni. Rafe nachylił się nad blatem, żeby odpowiedzieć Dixowi; zobaczył ją i umilkł. Zawstydził się.

- Charlie... - odezwał się. - Wy tłumaczę ci wszystko...

Odbiegła.

scandalous

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dogonił ją przed schodami i zatrzymał, kładąc jej rękę na ramieniu. Odwróciła się i uderzyła go pięścią w twarz. Przeraziło to ją samą na tyle, że zamarła. Na policzku Rafe'a pojawił się czerwony ślad. Zaczął go rozcierać.

- Trafiłaś mnie w odporną część ciała. To kość policzkowa. Dużo wrażliwszy jest nos - i ręka by cię nie bolała.

- Bardzo śmieszne!

- Nie podoba ci się, że żartuję? Wolałabyś, żebym ci oddał? Słuchaj, wiem, że cokolwiek w tej chwili powiem, i tak obrócisz to przeciwko mnie; chciałbym się jednak wytłumaczyć.

Założyła ręce.

- Mów. - Chciała dowiedzieć się, czemu ją sprawdzał, zamiast jej ufać. Jakaż ona była naiwna! Jej nadzieje przysły.

Nie wiedział, co mówić. Podrapał się w głowę.

- Kiedy powiedziałem, żebyś zaczekała na dole, podczas gdy będziemy pracować, zrobiło ci się tak smutno...

- zaczął. - Nie byłem w stanie tego znieść.

- Więc mnie okłamałeś. Świetne rozwiązanie! - Miała ochotę uderzyć go po raz drugi - albo płakać. Ale nie

zamierzała robić z siebie takiego widowiska. Odwróciła się. Oczywiście, znów ją zatrzymał. Złapał ją za ramię.

- Próbowałem zrobić tak, żebyś nie czuła się zraniona! - wyjaśnił. - Może wpadłem na głupi pomysł, ale czego właściwie byś chciała? Sam nie wiem, co powinienem zrobić! Nie mogę postępować dobrze, kiedy nie wiem, co jest dobre. A ty utrudniasz mi dodatkowo wszystko! Chcesz, żebym postępował po twojemu.

- Ja? To nie ja ciągnę cię w kółko za ramię, żebyś robił to, co ja chcę!

- Chcesz, żebym ufał ci do końca. Jak to ma być - ja będę ci ufał, a ty będziesz trzymała najważniejsze rzeczy w tajemnicy przede mną?

Chciała mu je powiedzieć. Jeszcze przed chwilą miała taki zamiar.

- Nie obchodzi mnie, czy mi ufasz, czy nie. Ja ci nie ufam, więc nie ma znaczenia, co ty sądzisz o mnie - prawda?

Wściekłość targnęła Rafe'em. Zaciśnął dłoń na jej ramieniu, a potem puścił ją i uderzył otwartą dłonią w ścianę.

- Dix! - zawołał. - Chodź i wytłumacz tej cholерnej, pokręconej kobiecie, co robimy! Powiedz jej wszystko! Ja wychodzę.

Zanim Dix wyłonił się z kuchni, Rafe'a już nie było.

Jechał przed siebie samochodem, nie myśląc, dokąd. Charlie nie pozwoli mu teraz prędko się dotknąć. Skoro

tak, w jaki sposób zdołają przekonać, żeby za niego wyszła? Może znowu ucieknie? Nie wiedział. To byłoby fatalnie - musiałyby znów jej szukać, modląc się, aby wyprzedził w tym Kellych. Uważał jednak, że Charlotte nie zniknie od razu, bo najpierw będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego. Dix pewnie opowiadał jej właśnie, do czego doszli.

W rzeczywistości wiedzieli już, co zrobił nasłany przez nią informatyk nazwiskiem Broderton. Zainstalował podprogram, który umożliwiał łatwy dostęp z zewnątrz do komputerów Connelly Corporation - i to w taki sposób, że ingerencje nie pozostawiały żadnych śladów. Rafe odnalazł ów podprogram i przed czterema dniami wprowadził swoją modyfikację, dzięki której mogli z Dixem śledzić poczynania informatyka Kellych. Broderton - podejrzewali, że to był on - próbował włamać się do specjalnej partycji dysku głównego serwera, na której przechowywane były najpilniej strzeżone tajemnice firmy. Jak na razie nie udało mu się to - ta partycja dysku była bardzo dobrze zabezpieczona. Rafe dodał .teraz do niej kolejne zabezpieczenia. Broderton chwilowo nie będzie w stanie poradzić sobie z nimi. Pozostawało jednak bez odpowiedzi podstawowe pytanie - do czego właściwie potrzebne były Kellym dane, do których usiłowali dotrzeć.

Dlatego też Rafe i Dix starali się jak najszybciej stworzyć program, który działałby niejako „odwrotnie” do wprowadzonego przez Brodertona. To znaczy - który będzie umożliwiał dostęp do komputerów Kellych. Skom-

puteryzowani przestępcy musieli gdzieś przechowywać dane. Byłoby najprościej, gdyby ich informatyk komunikował się z Internetem z końcówki, która owe dane zawierała. Gdyby Rafe dotarł do archiwów rodziny Kellych, można by je wykorzystać przeciwko nim i doprowadzić do rozbicia ich gangu.

Na razie nie było wiadomo, czy to się uda. Nie uda się z pewnością, jeśli zorientują się, co Rafe próbuje zrobić. Jeżeli mylił się co do Charlie i szantażowali ją nadal, a ona nie miała dość honoru, żeby powiedzieć mu prawdę...

Przed dziesięcioma miesiącami ktoś próbował zamordować jego brata. Teraz usiłowano zabić Charlie. Można było się domyślić, że za tymi obydwoma sprawami stoi gang Kellych. Rafe nie wiedział, o co im chodziło, ale trzeba było ich powstrzymać.

Może mówiła prawdę, gdy powiedziała, że próbowała wszystko naprawić? Być może mógł zaufać jej na tyle, żeby uzależnić od niej życie swego brata? Chciał w to wierzyć.

Może też była w tej chwili tak wściekła i zrozpaczona tym, że ją oszukał, że ucieknie i zostanie zamordowana wraz z nienarodzonym dzieckiem?

Ale przecież nie mógł trzymać jej pod kluczem. Miał nadzieję, że miała świadomość tego, iż znikając znowu, narażałaby siebie i dziecko na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Właściwie nie wiedział, czemu się na nią tak gniewa. Nie ufała mu - i co z tego? Wiedział to od początku.

Przemyślał już dawno, dlaczego. Miała trudny charakter, była zamknięta w sobie, nieufna. A on już raz dał się jej we znaki.

A teraz popełnił względem niej drugi wielki błąd. Westchnął. Chciał, aby czuła się użyteczna - a z drugiej strony, wolał nie ryzykować wszystkiego. Próbował dać jej szansę. Co w tym złego?

Skierował samochód z powrotem w stronę domu. Jednak sprawdzanie kogoś, to nie to sanio, co zaufanie mu, myślał. Zgnębiony swoimi rozważaniami, zajechał do garażu Connelly Corporation. Siedział chwilę w samochodzie. Musiał powiedzieć ojcu, co się dzieje. Chciał tylko, żeby była to przemyślana decyzja, a nie wynik chwilowego impulsu. Wrażliwej i inteligentnej matce nie chciał wszystkiego opowiadać. Miał chwilowo dość kobiecych pytań i nastrojów.

Na dawnym miejscu Charlotte siedziała teraz asystentka o imieniu Martha, błyskotliwa Portorykanka, drobniutka i niezmiernie atrakcyjna.

- Dzień dobry - powiedział. - Przyszedłem sprawdzić, czy zmieniła pani zdanie w kwestii ucieczki ze mną na koniec świata.

- W ten weekend jesteśmy z mężem wolni...

- Proszę się nie gniewać, ale wątpię, żeby pani mąż był w moim typie.

Roześmiała się.

- Niech pan wchodzi. Pana ojciec jest sam w gabinecie.

Wszedł.

- Cześć, tato. Pomyślałem, że czas zdać ci relację z tego, co się dzieje.

- Coś nowego?

- Coś niecoś. Program, który znaleźliśmy z Dixem w systemie, jest sprytny - to nie zwykły wirus. Jest skonstruowany...

- Daruj mi wykład z informatyki, i tak nie zrozumiem. Czy jesteś pewien, że na razie gang Kellych nie jest w stanie dotrzeć do tego, do czego nie powinien?

- Nie mogą otworzyć tajnej części dysku. Resztę danych mogą przeglądać, kiedy tylko zechcą, ale śledzimy poczynania ich specjaliści i jak dotąd, interesował się tylko tą jedną partycją dysku głównego serwera.

- Ile czasu zajmie ci dokończenie twojego programu?

- Tydzień, może więcej.

Grant bębnił palcami w poręcz fotela.

- Nie mam pojęcia, o co może im chodzić. Starwind wpadł na pomysł, że mogą szukać sposobu na pranie brudnych pieniędzy.

Rafe pokręcił głową.

- To dobry detektyw, ale na komputerach się nie zna. W tej partycji nie ma nic, co pomogłoby im prać brudne pieniądze.

- Poza tym, gdyby chodziło im o dostęp do moich kont, po co próbowaliby w styczniu zamordować Daniela?

- Właśnie! - Nikt nie wiedział, dlaczego rodzina Kellych maczała palce w zamachu na Daniela, po tym, jak

został królem Altarii. Wydawało się, że próba zamordowania go miała podłoże polityczne. Jaki mogło mieć to związek ze szperaniem w komputerach rodzinnej firmy Connellych? Był jeden człowiek, który znalazł ów związek - detektyw Tom Reynolds. Ale już nie żył.

- Musimy dowiedzieć się, o co im chodzi - skwitował Grant. - Masz na to szanse?

- Tak, jeśli mają to zapisane w swoich komputerach. Nie gwarantuję, że znajdę cokolwiek. Broderton to znakomity informatyk. Podprogram, który zainstalował w twojej firmie, to prawdziwa perełka.

- Jasne. Wiesz co, nie wydaje mi się, żebyś przyszedł tu rozwodzić się nad Brodertonem.

- Rzeczywiście, nie tylko po to... - Rafe wyrżał przez okno, spuścił wzrok, a potem popatrzył w oczy ojcu. - Mama przekazała ci chyba, że odnalazłem Charlie. I że jest u mnie.

Grant skinął głową.

- Zdecydowałem się wprowadzić Charlie we wszystko. Na pewno dziwisz się dlaczego - skoro to przez nią gang Kellych był w stanie uzyskać dostęp do naszych komputerów.

- Nie wątpię, że masz swoje powody.

- Chyba tak. - Rafe westchnął. - Tylko sam ich dokładnie nie znam... Tato, nie wniosłeś przeciwko niej oskarżenia. Jak sądzisz - czy była zmuszona do tego, co zrobiła? Nie chce wyjaśnić mi tego szczegółowo. W ogóle nic o sobie nie mówi. Nie wiem, gdzie dorastała, kim byli

jej rodzice, jak wyglądało jej dzieciństwo, szkoły, okres dojrzewania. Ani czym groził jej gang Kellych. Nie chce mi nawet powiedzieć, czy wie, co robi, jeśli nie wyjdzie za mnie. Z każdej najdrobniejszej sprawy robi wielką tajemnicę. Dlaczego kobiety postępują tak nielogicznie?!

- To estrogen. Sprawia, że mają zmienne nastroje - i same uważają to za normalne. Ale jeśli powtórzysz mamie, że to powiedziałem, wydziedziczę cię. - Grant wstał, podszedł do barku i nalał synowi i sobie whisky. - Rozumiem, że nie układa wam się z Charlotte najlepiej.

Rafe parsknął ironicznym śmiechem.

- Zdecydowanie nie! - Spojrzał na szklaneczkę, po czym wypił jej zawartość jednym haustem.

- Synu, jak ty traktujesz siedemnastoletnią irlandzką!

- Jestem zestresowany.

- Widzę. To jak - powiesz mi, dlaczego tu naprawdę przyszedłeś?

- Niezbyt chętnie... - Rafe popatrzył w pustą szklaneczkę. Kiedy oznajmił rodzicom, że zamierza ożenić się z Charlie, matka popatrzyła z niepokojem i zapytała, czy naprawdę tego chce. Ojciec skinął tylko głową, jakby spodziewał się takiej decyzji. Może i się spodziewał? Grant Connelly dobrze znał swoich synów.

Rafe cieszył się, że ma rodzinę, kochał ją, a z drugiej strony życie w całym tym tłumie byłoby dla niego nieznośne. Dlatego też nie pracował w Connelly Corporation. Odpoczywał od rodziny i wracał do niej od czasu do czasu.

Charlie nie miała rodziny. Może dlatego była tak skryta i trzymała wszystkich na dystans. Nie potrafiła nawiązywać bliskich relacji z ludźmi.

- Kiedy dowiedziałeś się, co zrobiła Charlie, wściekłeś się - zaczął. - A jednak nie wniosłeś przeciw niej oskarżenia. Przeciwnie, naciskałeś na policję, aby jej nie oskarżano.

- Nie chciałem, żeby poszła do więzienia. Zawsze ją lubiłem. Uważałem ją za osobę o silnych zasadach moralnych. Czasem jednak ludzie łamią swoje zasady, z tego czy innego powodu. Jestem ciekaw, czym gang Kellych ją szantażował.

Rafe także chciałby to wiedzieć. Gdyby miał pewność, że nie zdradziła jego ojca dla pieniędzy...

- Myślałem, że może ci powiedziała.

- Nie rozmawiałem z nią, odkąd policja sprowadziła ją na przesłuchanie, po śmierci Reynoldsa - wyjaśnił Grant.

- Zastanawiałem się, jak się czujesz, wiedząc, że zamierzam się z nią ożenić.

- Zaszła z tobą w ciążę. Należy jej się to, żebyś się z nią ożenił. Ważniejsze jednak, co ty sam czujesz w tej sytuacji?

- Można przy niej zwariować. Nie wiem, co robić. Odrzuciła moją propozycję.

- Przykro mi to słyszeć. Czy zgodzi się na wspólną opiekę nad dzieckiem?

- Ee tam. Ona za mnie wyjdzie. Jeszcze nie wiem, jak ją przekonać, ale przekonam ją.

- Skoro tak, nie wiem już, co naprawdę chciałeś mi powiedzieć. Czy szukasz porady w kwestii tego, jak przekonać do siebie Charlotte?

Rafe sam nie wiedział, dlaczego przede wszystkim przyszedł. W każdym razie nie potrafił ująć tego w słowa. Jak poradziście sobie z mamą, kiedy dowiedziała się o istnieniu Setna? - myślał. - Jak uratowaliście wasz związek? Nigdy nie rozmawiali z ojcem o tych sprawach. Rodzice żyli przez pewien czas w separacji, ojciec miał romans, potem zeszli się z powrotem. Rafe doświadczył tego na własnej skórze, a z drugiej strony nie miał pojęcia, w jaki sposób wszystko się zepsuło, a potem zostało naprawione. Nie wiedział też, jak rozmawiać z ojcem o tak osobistych sprawach. Zapytał:

- Jak sprawić, żeby kobieta zaczęła człowiekowi ufać?
- Trzeba być godnym jej zaufania.

Spojrzał gniewnie na ojca. Niewątpliwie, nie był on kiedyś godny zaufania swojej żony, a mimo to je odzyskał. Ich związek był znowu bardzo bliski i Rafe chciał usłyszeć bardziej konkretne wyjaśnienie sposobu, w jaki to osiągnęli.

- Nieważne. Sam do tego dojdę - powiedział nagle. Zadał jeszcze jedno pytanie: - Czy Charlie wspominała ci kiedyś o niej jakim Bradzie Fowlerze?

- Fowler... Nie, nie pamiętam takiego nazwiska. Ona w ogóle nie mówiła nic o swoim życiu osobistym. Zawsze była skryta.

Jasne. Rafe zebrał się do wyjścia.

- Dzięki za drinka.
- Rafe?
- Słucham?
- Jesteś pod wieloma względami podobny do mamy. Lubisz, żeby stanęło na twoim, ale nie masz moich skłonności do kierowania innymi. Za to jesteś do mnie podobny w tym, że obaj zrobimy wszystko, żeby uzyskać to, co postanowiliśmy zdobyć. To nie jest zła cecha, ale mówię ci z doświadczenia, że potrafi człowieka oślepić.

- Czy masz na myśli coś konkretnego?
- Postanowiłeś ożenić się z Charlotte.
- Sam powiedziałeś, że jestem jej to winien.
- Tak, ale nie sądzę, żebyś dlatego uparł się na to.
- Wcale nie chcę się żenić. Chcę być ojcem mojego dziecka, a powinien mieć i ojca, i matkę, mieszkających razem.

- Czy zatem Charlotte nic a nic cię nie obchodzi?
- Sama nie zaszła w ciążę!... Pociąga mnie, to jasne. Ale to nie znaczy, że nie marzę o niczym innym, jak ożenić się z nią. Powiniennem to zrobić, to wszystko.

- Hmm. Musisz zastanowić się, czy naprawdę żenisz się z nią po to, żeby mieć swoje dziecko, czy też raczej wykorzystujesz fakt, że będziecie mieli dziecko, do tego, żeby związać się z Charlotte. Wątpię, żeby jedno czy drugie dobrze wam wyszło.

Rafe poszedł. Grant stał przez kilka minut w oknie, sączył whisky i myślał.

Miał sześćdziesiąt pięć lat, wielką fortunę, był preze-

sem ogromnej firmy. Dobrze się z tym czuł. Podobały mu się jego piękne garnitury i buty, wizyty u fryzjera i manicurzystki. Lecz jednocześnie pod spodem pozostał prawdziwym drapieżnikiem. Tylko człowiek, który potrafi czasem być bezwzględny, jest w stanie wspiąć się na wyżyny biznesu, drabiny społecznej i finansowej, i pozostać na nich przez czterdzieści lat. Grant lubił kierować innymi, decydować. Emma mówiła mu, że ma tę cechę przez zwykłą arogancję, nieuzasadnione przekonanie, że zawsze ma rację.

Jednak naprawdę dobry biznesmen zawsze wie, kiedy wezwać prawdziwego eksperta. Podeszedł do biurka i zatelefonował do żony.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po wyjściu z gabinetu ojca Rafe był w jeszcze większej rozterce niż przed wejściem do niego. Nie wiedział, o co ojcu chodziło. „Czy naprawdę żenisz się z nią po to, żeby mieć swoje dziecko, czy też raczej wykorzystujesz fakt, że będziecie mieli dziecko, do tego, żeby związać się z Charlotte?” Przecież chciał mieć jedno i drugie. Czy nie mógł?

Na razie nie za bardzo. Będzie miał szczęście, jeśli Charlie w ogóle zechce z nim rozmawiać, a i to sarkastycznym tonem. Nie miał czasu na długie udowadnianie, że jest jednak godny jej zaufania. Przekona ją do siebie w sprytny sposób.

- Na pewno nie chcesz, żebym przyniósł ci coś do jedzenia, zanim wyjdę? - spytał Dix, marszcząc czoło.

- Chociaż soku.

- Nie, dziękuję. - Charlotte pochylała się nad wydrukiem, na którym znajdowała się lista plików przechowywanych na tajnej partycji dysku głównego serwera Connelly Corporation, a także ich krótkie opisy. Wiedziała, że gdzieś na tej kartce znajduje się rozwiązanie całej zagadki.

- Powinnaś coś zjeść.
- Zjem. Na razie nie jestem głodna. - Idź już, myślała.

- Dobrze. No, to do jutra. - Nie odchodził. Podniosła wzrok.

- Będę tu jutro! Obiecałam, że nie zniknę, a poza tym nie jestem głupia. Zgodziłam się tu zostać, bo nie mam dokąd pójść.

Dix pokiwał głową i poszedł.

Uff! Nareszcie była sama, nie obserwowana przez nikogo. Dix wyglądał stanowczo, miał zdecydowany sposób mówienia, ale był nadwrażliwym człowiekiem. Całe popołudnie zerkał na nią z niepokojem, jak gdyby miała zemdleć albo umrzeć na zawał. Przecież nic złego się z nią nie działo, pokłóciła się tylko z Rafe'em - nie pierwszy raz i nie ostatni. Owszem, przejęła się, ale dawno się uspokoiła. W końcu...

Drżała. A jednak. Ręka z ołówkiem trzęsła się tak, że nie była w stanie pisać.

Zamknęła oczy. Czuła się roztrzęsiona, jak gdyby wypijała litr kawy. Nie mogła się jednak pozbierać. Zwykle pomagała jej praca. Zanim przeprowadziła się do Chicago, była księgową w kilku małych firmach. Przetrzymała aresztowanie i proces Brada chyba tylko dzięki temu, że uspokajała się, wtapiając wzrok w kolumny cyfr. A teraz. ... „To chyba hormony związane z ciążą” - pomyślała. Czytała, że powodują częste wahania nastroju. Musiała przeczekać obecne.

Nie wiedziała, dlaczego Rafe kazał nagle Dixowi powiedzieć jej, nad czym dokładnie pracują. Rozumiała już, dlaczego jej nie ufał. Nie było się czemu dziwić. Postanowił więc ją sprawdzić... Tak czy owak, nie dawał jej spokoju. Dlaczego?

Nagle usłyszała na dole jego głos. Rozmawiał z jakimś mężczyzną i kobietą; przesuwali coś. Rozległ się śmiech. A potem... bęben? Więcej głosów, stuk...

Czy on urządził właśnie przyjęcie?! Niedorzeczny pomysł. W każdym razie nie zamierzała do niego schodzić, widzieć go, rozmawiać z nim ani nawet myśleć o nim. Będzie siedziała na górze i pracowała.

Połączyła się z serwerem Connelly Corporation. Tymczasem piętro niżej ktoś stroił jakiś instrument. Skupiła się na monitorze.

- Charlie! - zawołał Rafe. - Nie schodź na razie, dobrze? Wytrzymaj kilka minut.

Zbiegła ze schodów. Rozległa się hawajska muzyka. Rafe podszedł i powiedział z uśmiechem:

- Wiedziałem, że się pojawisz, kiedy poproszę cię, żebyś tego nie robiła.

Omam nie wróciła na górę. Ale nie chciała robić mu tej przyjemności. Zobaczyła troje półnagich muzyków o smagłej cerze, w kwiecistych przepaskach biodrowych. Mieli bęben, flet i coś w rodzaju mandoliny czy gitary. Mężczyzna o wyglądzie eleganckiego kelnera nakrywał stół do kawy. Nad nim zwieszała się palma! Otoczona doniczkami z egzotycznymi kwiatami. Kelner zapalał

świece, ktoś rozpałił w kominku. Zapachniało jedzenie, jakieś korzenne przyprawy.

- Urządziłeś przyjęcie! - stwierdziła Charlotte.

- Możesz nazwać to przyjęciem, a możesz - przeprosinami. - Rafe wyciągnął rękę.

Stała bez ruchu. Serce zaczęło bić jej mocno, bardzo mocno.

- Nie rozumiem.

- Wiesz, za co cię przepraszam. Zawsze denerwowało mnie, że jesteś zbyt tajemnicza - ale przez ostatnie dwa lata i tak trochę cię poznałem. Wiem, że lubisz włoską oraz meksykańską kuchnię i operę. Miałaś kiedyś psa. Uwielbiasz eleganckie ubrania, porządek, czystość. Masz najseksowniejsze usta, jakie w życiu widziałem. I nigdy nie byłaś na Hawajach.

„Najseksowniejsze usta?” Odchrząknęła.

- Hawaje... tak, wspominałam ci o tym w zeszłym roku. Dlatego przysłałam ci tę paskudną laleczkę.

- Omal nie wysłałem ci pocztówki, na której napisałbym: „Myślę o Tobie. Żałuję, że Cię tu nie ma” Bo tak było. Ale nie chciałem myśleć o tobie, denerwowało mnie to. Posłałem ci więc laleczkę... Wiem także, że jesteś absolutnie uczciwa, nie kłamiesz, nie kradniesz, nie naginasz zasad moralnych.. Skoro powiedziałaś, że gang Kellych nie jest już w stanie szantażować cię tym, czym wcześniej, nie wątpię, że tak jest. Chciałbym jedynie, żebyś ufała mi na tyle, aby opowiedzieć mi o wszystkim.

O mało mu nie wybaczyła. Nie, nie mogę być aż tak

naiwna, głupia, kobieca - w złym tego słowa znaczeniu, myślała. - Kilka miłych zdań niczego nie dowodzi. Przez dwa lata nie zbliżał się do mnie. Zależy mu tylko na dziecku i na sobie samym.

- Nie chcesz? - upewnił się. - Nie mogę cię winić. Przepraszam, że i ja wcześniej ci nie ufałem. - Nałożył jej jeden z dwóch naszyjników z kwiatów, jakie miał na sobie. - Nie zabrałem cię w zeszłym roku na Hawaje - ciągnął. - To był mój błąd. Pozwól, że zabiorę cię tam dzisiaj - wieczora.

Czas upływał bardzo przyjemnie. Charlotte popatrzyła podejrzliwie na Rafe'a. Wiedziała, że zmierzał do tego, żeby w nocy znaleźli się w jednym łóżku.

A on miał inne zamiary. Postanowił nie uwodzić jej dziś, właśnie dlatego, że się tego spodziewała. Uznał, że przekona ją do siebie, kiedy nie będzie zbyt przewidywalny.

Głupio się czuła, bowiem powiedziała mu, że jest idiotą i że marnuje pieniądze na zbędne ekstrawagancje. A przecież muzyka i hawajski taniec ogromnie jej się podobały, a jedzenie było pyszne. Oczy jej się rozmarzyły. Nie była uprzejma... Po deserze odbył się taniec z mieczami. Coś wspaniałego!

Rafe cieszył się, choć wiedział, że tej nocy nie nastąpi to, czego by chciał. Nie zwracał uwagi na tańce - ani półnagiej kobiety, ani muskularnych młodzieńców w przepaskach biodrowych z trawy. Przez cały czas upajał

się widokiem Charlie i jej reakcjami. Pożądał jej tak, że trudno mu było usiedzieć.

Kiedy nastąpił wielki finał, a po nim oklaski ich obojga, spytał:

- Czy chciałabyś polecieć w podróż poślubną na Hawaje?

Spoważniała.

- Słuchaj...

- Zaraz porozmawiamy. Muszę im najpierw podziękować.

Zapłacił muzykom, tancerzom i kelnerowi, odprowadził wszystkich do drzwi. Zostali z Charlie sami. Ogień w kominku dogasał, paliły się jeszcze świece - i światła wielkiego miasta, wpadające przez okno. Charlotte stała naprzeciw niego, koło palmy. Rafe zbliżył się i zagadnął:

- Mam nadzieję, że masz dobrą rękę do roślin. Przy mnie ta palma pewnie też by uschła.

- Nie znam się na palmach, ale znajdę coś w Internecie albo księgarni.

Dotknął luźnego pasemka włosów opadającego jej na policzek.

- Podoba mi się, kiedy masz takie włosy - powiedział.

- Zwichrzone?

- Zwichrzone. - Pogładził ją po policzku. - Lubię cię także schludnie uczesaną i elegancko ubraną, bo wtedy marzę, że rozczochem ci włosy i rozbioreę cię. Czy wiesz, że kiedy pracujesz, robi ci się mała zmarszczka od skupienia - o tutaj. - Dotknął jej czoła. - Szaleję za nią.

Roześmiała się nerwowo.

- Wariat z ciebie.

Popatrzył na nią, w jej oczy - i nagle wiedział, że będą mogli przespać się tej nocy. Teraz. Zrobiło mu się gorąco. Pożądał jej bardzo mocno. Sam nie wiedząc czemu, powiedział:

- Może lepiej, żebyś poszła już na górę.

- Słucham?

- Miałem cię dzisiaj nie uwodzić, ale jestem bliski zmiany zdania...

- Rozumiem. - Zamknęła na moment oczy. - Najwyraźniej nareszcie oboje czujemy równocześnie to samo. Ja też miałam nie pozwolić się uwieść, ale... Zmieniłam zdanie.

- Ach.:

- Widzę, że masz na to ochotę.

Miał. Tylko... bał się. Czego?

- Tak. Mam - odpowiedział.

- Ale nie wyglądasz na uszczęśliwionego.

Cóż, nie cieszył się z tego, że boi się nie wiadomo czego. Ale i tak był podniecony.

- Zobaczmy, czy damy radę mnie uszczęśliwić.

Przyciągnął ją powoli do siebie; lekko - żeby mogła się rozmyślić. Wiedział, że nie będzie chciała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nigdzie im się nie spieszyło. Zaczął pieścić ją powolutku, lekko. Głaskał ją po plecach, przyciągając do siebie. Mieli czas zmienić zdanie, zastanowić nad swoimi uczuciami. Ale żadne z nich nie miało ochoty przerwać. Pożądali się wzajemnie oboje i pragnęli złączyć się w jedno. Serca biły im szybko i mocno.

Zaczął ją całować. Poddała się z rozkoszą. Poczowała się, jakby czas i przestrzeń załamywały się. Objęła go i także zaczęła pieścić jego muskularne plecy i ramiona.

Przerwali pocałunek, gdy brakowało im już powietrza. Zetknęli się głowami.

- Chyba nie dojdę na górę... - odezwał się Rafe.
- Nie... Jest tylko jedna sprawa...
- Chyba się nie rozmyśliłaś?
- Nie. A przynajmniej nie chcę. Chodzi mi o to, że powinniśmy oboje zdawać sobie sprawę z sytuacji. Jest tak, jak poprzednim razem - nie obiecujemy sobie dziś niczego.

Rafe drgnął.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- To samo, co ty - pięć miesięcy temu.

- Od tego czasu wszystko się zmieniło! - Oparł dłoń na jej brzuchu. - Nosisz w sobie moje dziecko. Mam więc prawo oczekiwać od ciebie paru rzeczy. A ty - ode mnie.

- Mówisz o małżeństwie... - Cofnęła się. - Dla ciebie naszą relację określa tylko to, że zaszłam z tobą w ciążę!

- Oczywiście, że dziecko zmieniło naszą sytuację, ale nie wiem, do czego zmierzasz.

- A jeśli to nie twoje dziecko?

- Jeżeli chcesz mi powiedzieć, że to nie ja jestem ojcem dziecka...

- Jesteś.

- To dobrze. I tak bym ci nie uwierzył, gdybyś powiedziała co innego. Cholera, Charlie!... - Uspokoił się i westchnął. - Dlaczego ty jesteś taka dziwna? - Znów ją przytulił. Nie wzbraniała się - miała na to ochotę.

- A ty nie jesteś dziwny?

- Jestem prostym facetem.

Omam nie wybuchnęła śmiechem. Rafe był najbardziej nieprzewidywalnym człowiekiem, jakiego znała. Zaczął znowu ją pieścić i pożądanie obudziło się w niej na nowo. Pocałował ją koło ucha.

- Jestem mężczyzną, a mężczyźni to proste stworzenia. Na przykład w tej chwili trudno mi myśleć o czymkolwiek innym niż o seksie z tobą. Chcę się z tobą kochać, na kanapie albo w moim łóżku, albo na schodach. Lub we wszystkich tych trzech miejscach naraz.

- Na tych schodach? - Parsknęła śmiechem. - To byłoby bardzo niewygodne.

- Dobra. W takim razie schody... opuścimy. - Mówiąc, całował ją - w usta, policzek. Pieścił ją dłońmi. Przycisnęli się do siebie i zaczęli całować namiętnie. Rafe sięgnął pod jej bluzę, odnalazł piersi. Po chwili leżeli już na kanapie i pieścili się dalej, rozbierając się powoli. Spojrzawszy na jej lekko nabrzmiąły brzuch, powiedział: - Nie chcę zrobić krzywdy dziecku ani tobie.

Uśmiechnęła się.

- Na razie jest bezpiecznie. To jeszcze nie to stadium. Tylko moje piersi są trochę wrażliwsze niż zwykle.

Rozbierał ją więc dalej. Pieścił ustami, potem dłońią, palcami...

- Zawsze o tym marzyłem! - sapnął. - Kiedy siedziałś w tym biurze, zapięta pod szyję. A ty?

- Nie... - Przyciskała się mocno do niego. - Może. Nie wiem...

- Może?... Myślałem, że czasami tak.

Złączyli się w jedno i pogrążyli w narastającej ekstazie, jęcząc z rozkoszy. Niemal równocześnie doszli na sam jej szczyt. A potem opadli obok siebie, wciąż dotykając się intymnie.

- Charlie!... - wyszeptał jej imię Rafe. Uśmiechnęła się, słysząc, jakim tonem je wymówił. Tulili się do siebie z czułością. W pewnym momencie dziecko się poruszyło.

- Charlie! - powtórzył, tym razem inaczej.

- Co się stało?

- Brzuch ci się rusza.

- To dziecko.

- O jejku! - Położył dłoń na jej brzuchu i popatrzył takim wzrokiem, jak jeszcze nigdy. - Czy możesz jakoś sprawić, żeby ruszyło się jeszcze raz?

- Nie. Ono się wierci, kiedy samo chce. Jest całkiem niezależną osobą, mimo że ma na razie ograniczone możliwości. Ale często się rusza, więc jeśli chwilę poczekaasz, to pewnie poczujesz.

I poruszyło się.

- Coś takiego!... - Rafe był wniebowzięty. Charlotte przełknęła. Nie wiedziała, co myśleć. - Jak to się czuje, kiedy dziecko wierci się w tobie? - spytał.

- To jest cudowne.

- Pewnie na razie jest dosyć małe. Ale będzie większe. .. Poród będzie cię bolał...

- Owszem. Ale jestem twardą dziewczyną. Może będę krzyczeć albo przeklinać, ale nic mi się nie stanie.

- Nie podoba mi się to. Powinien istnieć jakiś inny sposób, bezbolesny. Przy dzisiejszych postępach medycyny...

- Daj spokój, Rafe. - Roześmiała się. - W latach pięćdziesiątych próbowano upowszechnić znieczulenie, ale nie okazało się to korzystne dla przebiegu porodu. Natura wie, co najlepsze dla matki i dziecka.

- Teraz czuję się zupełnie inaczej - powiedział. - Wiem, że dziecko naprawdę tu jest. To znaczy, przedtem też, oczywiście, wiedziałem, ale czuję się tak, jakbym go dotknął i poznał... - Przesunął dłonią po jej brzuchu, jak gdyby głaskał dziecko. - Moje malutkie!...

Charlotte miała łzy w oczach. Nie planowała zająć z nim w ciążę, ale miała szczęście - Rafe będzie dobrym ojcem.

- Hej, co się stało? Płaczesz. - Dotknął jej policzka.

- To przez hormony. Nastrój mi skacze.

Zdziwił się, ale nie wypytywał jej. Zmienił temat:

- Dlaczego jeszcze nie wiesz, czy to będzie chłopczyk, czy dziewczynka? Myślałem, że w tych czasach...

- Można to sprawdzić podczas badania USG. Miałam sobie zrobić, byłam już umówiona, ale...

- Ale zaczęłaś się ukrywać. Powinnaś przejść pod opiekę jakiegoś nowego lekarza. I nie mów mi czasem, że przez tysiąclecia kobiety rodziły bez pomocy, bo naprawdę nie wszystkie dzieci i kobiety to przeżywały.

- Nie martw się, nie jestem wrogiem współczesnej medycyny. Ale to nie takie proste... Boję się odebrać od lekarza wyniki moich badań. Może znajdą mnie przez to? Nie wiem, w jaki sposób ostatnio mnie znaleźli.

- Ja odbiorę twoje wyniki.

To powiedziawszy, Rafe wsunął rękę pod jej plecy, drugą pod kolana, i unióś ją.

- Co ty robisz?! - spytała, łapiąc go za szyję.

Pocałował ją.

- Nie zapomniałem o drugiej części naszych erotycznych planów na dziś. - Wyprostował się i ruszył z nią ku schodom.

- Przecież nie będziesz wnosił mnie po schodach! Jestem za ciężka.

- Chcesz się założyć?

Wniósł ją. I już po chwili zapomniała o Kellych i różnych innych sprawach. Kochali się znowu.

Potem Rafe zasnął szybko. Charlie leżała, dotykając go, i myślała. Długo nie mogła zasnąć. Patrzyła w ciemność.

scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rafe nie był rannym ptaszkiem i takie osoby denerwowały go. Zazwyczaj - zwłaszcza gdy kończył jakiś projekt - budził się wcześniej, ponieważ musiał pracować; ale bynajmniej nie wstawał chętnie. Tego ranka obudził się z zamiarem kontynuowania tego, na czym skończył poprzedni dzień -jednak gdy wyciągnął rękę, poczuł, że Charlie nie ma. Rozbudził się. Cholera! Popatrzył na budzik i otworzył szeroko oczy. Było już dziesięć po dziesiątej. Nic dziwnego, że wstała. I tak jednak nie uradowało go to. Wolałby obudzić się przy niej. Podniósł się i podreptał do łazienki.

Przecież mogła mnie obudzić, jeśli znudziło jej się czekanie! - pomyślał. A nawet zrobić to w bardzo przyjemny sposób...

Widocznie nie miała ochoty.

Wszedł pod prysznic, w nie najlepszym humorze. Mi-niona noc była dla niego cudowna, wprost wyjątkowa. Być może dla niej - nie? Ta myśl dręczyła go.

Gdy się mył, przyszło mu do głowy, że może wtedy, kiedy po raz pierwszy uprawiali seks, Charlie była w nim tak samo zakochana, jak on - w niej teraz? Znieruchomiał.

Tak, czuł że się zakochał. Jak to się stało, że dopiero teraz to zauważył? To wyjaśniało wiele. Nic dziwnego, że miał niedawno wątpliwości, co robić. Przypomniały mu się słowa ojca. Wiedział już, o co chodziło. Kiedy kocha się kobietę i dziecko, nie zdobywa się jednego, posługując się drugim. Po prostu kocha się ich oboje.

Rozumiał teraz, jak okropnie musiała się czuć Charlie, jeśli była w nim zakochana, gdy opuścił jej łóżko i mieszkanie, i zniknął. Miał wyrzuty sumienia.

Zastanawiał się, dlaczego dała mu drugą szansę. Gdy się golił, przyszło mu do głowy, że zeszłej nocy to ona jego uwiodła, chociaż nie musiała się bardzo starać. Kochała go - czy też zemściła się po prostu? Może się zemściła - czyli teraz on był beznadziejnie zakochany! Nie, chyba nie beznadziejnie. Może uda mu się sprawić, że jej uczucia względem niego zmienią się. Najprościej byłoby, gdyby powiedziała mu, co czuje - ale jak do tego doprowadzić? Była tak skryta.

Wyszedłszy z łazienki, poczuł zapach pieczonych bułeczek z cynamonem. Charlie piekła bułeczki! Nie robiłaby tego, gdyby jej na nim nie zależało. Zbiegł na dół, nawet nie wkładając koszuli.

Kochali się na kuchennym stole. Rafe zaczął ją pieścić w ramach podziękowań za bułeczki. Było cudownie. Później rozkoszowali się bułeczkami - i sobą nawzajem. W końcu nadszedł czas zabrania się do pracy.

- Muszę cię spytać, czy naprawdę nie przeszkadza ci

już, żebym zajmowała się razem z tobą sprawą Brodertona i Kellych? - powiedziała.

- Naprawdę. Więcej: chciałbym, żebyś mi pomogła.

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście, nie znam się na programowaniu. Ale przejrzałam uważnie listę plików przechowywanych na tej tajnej części dysku.

- Analizowaliśmy ją już parokrotnie.

- Nie miałam w tej sprawie wątpliwości, ale czasem, kiedy ktoś spojrzy świeżym okiem, potrafi coś znaleźć. Mam doświadczenie w sortowaniu informacji, szeregowaniu ich pod różnymi kątami. Wówczas łatwiej dostrzec pewne rzeczy.

- I co? Dostrzegłaś coś?

- Organizuję listę plików po swojemu. Zaczęłam od eliminacji rzeczy, które można znaleźć gdzie indziej. Gang Kellych nie podejmowałby takich starań, żeby dotrzeć do nich akurat w najtrudniej dostępnej części systemu Connelly Corporation. Czy dobrze słyszałam, że do tej tajnej partycji ma dostęp tylko twój ojciec, ty i naczelny operator systemu?

- Teoretycznie tak. W. praktyce tata nie zagląda tam, ponieważ nie jest w stanie zapamiętać skomplikowanego protokołu dostępu.

- Dix mówił, że firma, na mocy umowy, pozwala ci przechowywać na tej pilnie strzeżonej części dysku własne materiały.

- Rzeczywiście. - Rafe spojrział tęsknie w stronę sy-

pialni. Nie było już czasu na seks. - Mam gdzie trzymać swoje najcenniejsze prace, a w zamian dbam o bezpieczeństwo systemu firmy. Mickey Tenjo - jego naczelny operator - nie jest akurat specjalistą od zabezpieczeń.

- W takim razie spojrzij na tę listę. To twoje pliki z tajnej partycji serwera. Powiedz mi, czy któreś z tych rzeczy można równie dobrze znaleźć gdzie indziej,

- Ależ tak, wszystkie. To programy, które napisałem dla różnych klientów, i pliki, które powstały przy ich tworzeniu.

- W takim razie gang Kellych raczej nie szuka żadnego z nich. Chyba że tego.

- Którego?

Pokazała na plik zawierający program, który Rafe nazywał Altinst.

- W opisie zaznaczone jest, że to program kodujący. Przechowujesz na dysku jeszcze cztery inne, ale tylko przy tym nie ma wpisanej nazwy klienta.

- To dlatego, że ten klient zażądał nadzwyczajnych procedur bezpieczeństwa. Zabronił tworzenia jakichkolwiek kopii. Mam tylko tę jedną, żebym mógł, w razie potrzeby, unowocześnić program, i na wszelki wypadek nawet nie wpisałem nazwy.

Rafe urwał i zmarszczył brwi.

- Co się stało?

- Może to przypadek, ale ten program napisałem dla Instytutu Rosemere w Altarii.

- Rafe, właśnie takich zbiegów okoliczności szukamy.

Przecież gang Kellych zorganizował zamach na twojego brata - nowego króla Altarii!

- Nie mamy pewności, czy to byli oni. Jedynym ogniwem, jakie łączy próbę zamordowania Daniela z Kellymi, jest Angie Donahue. - A z Angie miała związek Charlotte. - Nie widzę motywu. Instytut Rosemere zajmuje się badaniami nad walką z rakiem. Czemu organizacja przestępcza miałaby interesować się takimi badaniami?

- Może poza rakiem zajmują się jeszcze czymś innym, prowadzą tajne badania, których nie rozgłaszają.

- Ty chyba czytujesz książki sensacyjne. .

- Nie żartuj. Musimy uzyskać pewność, czy ten Instytut nie zajmuje się czymś innym poza walką z rakiem.

Rafe pomyślał chwilę. Pomysł Charlotte wydawał się dziwny - ale program dla instytutu z Altarii to jedyna zastanawiająca rzecz, na jaką natrafili w tajnej partycji serwera.

- Zadzwoń do Daniela - zdecydował - i powiem mu, żeby to sprawdził. Jest królem, więc będą musieli powiedzieć mu, co robią.

Charlotte zacisnęła usta i spuściła wzrok.

- Tak. Zadzwoń do brata - króla.

- Co się stało? Czy masz uprzedzenia do monarchii?

Pokręciła głową.

- Nieważne. Dzwon do Daniela, a ja w tym czasie wezmę prysznic i ubiorę się.

- Halo? - Rafe miał szczęście. Daniel odebrał osobiście. Zazwyczaj jego prywatny telefon odbierał Gregor Paulus - sztywny, niesympatyczny kamerdyner, którego odziedziczył wraz z tronem.

- Proszę, znowu złamałeś etykietę. Nie pozwalasz obsługiwać im się cały czas. Ale chyba pomagali królowi umyć się i ubrać...

Daniel zaklął. Trudno mu było przyzwycząić się do wymagań królewskiej etykiety. Denerwowały go - a Rafe lubił się z nim drażnić.

- Co słyszeć?

Rafe wyjaśnił bratu, o co chodzi. Daniel umilkł na chwilę.

- Ja też nie wiem, czego gang Kellych mógłby szukać w Instytucie - powiedział - ale sprawdzę to i oddzwonię, jak tylko dowiem się czegoś.

- Dzięki. Jak czuje się Erin?

- Świetnie. Słyszałem, że ty też zamierzasz się żenić.

- Pracuję nad tym. Ale Charlie to uparta kobieta. - Rafe'owi przypomniał się wyraz jej twarzy, kiedy wspomniał o Danielu. O co chodziło? Odezwał się domofon. - Muszę kończyć, ktoś przyszedł. To na razie.

- Cześć.

Rafe zdziwił się - choć może nie powinien. Przyjechała do niego matka.

- Dzień dobry, mamó - powiedział, całując ją w policzek. - Usiądź i rozgrzej się. Masz czerwony nos.

Emma Connelly, z domu Rosemere, wciąż cierpiała

z powodu surowych zim i jesieni, charakterystycznych dla Chicago. Wychowywała się na ciepłej Altarii.

- Nie mówi się kobiecie, że ma czerwony nos - ofuknęła syna. - Można ewentualnie powiedzieć, że ma zaróżowione policzki.

- Ech, te wasze damskie zasady!... - burknął. Matka pogłaskała go po policzku.

- Dlaczego chodzisz bez koszuli? Jest chłodno.

- Hartuję się.

- Zadałam ci niemądre pytanie. Mieszkasz przecież z piękną młodą kobietą. Mam zapewne szczęście, że nie zastałam cię bez spodni.

Rafe zaczerwienił się. Odwrócił się i powiesił płaszcz matki.

- Dobrze, że jeszcze jestem w stanie cię zawstydzić. Gdzie jest Charlotte?

- Na górze. Napij się czegoś? Może gorącej herbaty?

- Nie, dziękuję, kochanie. Wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć Charlotte.

- Znasz ją przecież.

- Poznałam ją jako asystentkę Granta, a nie twoją narzeczoną. Która nosi w sobie twoje dziecko - choć niektórzy ludzie sądzą, że to dziecko mojego męża.

- Spieszysz się? Po co tak naprawdę przyjechałaś?

- Przyjechałam, ponieważ martwię się o ciebie. Zawsze starałam się nie wtrącać w sprawy moich dzieci. I tak ojciec robi to za nas oboje... Nie myśl, że źle oceniam twoją

Charlie - jak lubisz ją nazywać. Raczej nie znam jej na tyle, żeby w ogóle mieć o niej jakąkolwiek opinię - i to stanowi dla mnie niejaki problem. Nie wiem o niej nic, poza tym, że Grant ją lubi, że będziecie mieli dziecko i że w znowiu z Angie Donahue doprowadziła do ingerencji gangu Kellych w system komputerowy naszej firmy.

- Możesz zaufać osądowi taty. I mojemu - ja też ją lubię!

- Ale skąd ona właściwie pochodzi? Jaka jest jej rodzina i znajomi? - Emma odwróciła się do syna. - I czy tylko ją lubisz? To wszystko, co do niej czujesz?

- Nie. Jestem w niej zakochany po uszy. Ale także lubię ją.

Matka westchnęła.

- Mój Boże!...

- Myślałem, że ucieszysz się, że ją kocham, skoro chcę się z nią ożenić.

- Czy to znaczy, że się zgodziła?

- Nie. Ale przekonuję ją pomału.

- Co ona do ciebie czuje?

- Nie jestem pewien. Mamo, proszę cię, nie męcz mnie już.

- Przepraszam. - Odgarnęła mu włosy z czoła. - Powiem jeszcze tylko jedną rzecz, a potem przestanę. Nie chcę, żebyś źle mnie zrozumiał, ale... Grant powiedział, że sądzi, iż Charlotte pochodzi z ubogiej rodziny. Nie umniejsza to, oczywiście, w żaden sposób jej wartości jako osoby, ale...

- Ale co?!

- Kiedy narzeczeni pochodzą z krańcowo różnych środowisk, małżeństwo z reguły napotyka na liczne trudności. Kobieta, która nie zaznała w życiu wygód, może przy tobie czuć się nagle jak Kopciuszek u boku księcia. Chciałabym po prostu, żebyś miał pewność, iż Charlotte jest naprawdę oczarowana tobą jako człowiekiem - a nie tym, jakie perspektywy materialne i socjalne otworzy przed nią małżeństwo z tobą.

Rafe uśmiechnął się.

- Zawsze umiałaś wyrażać się z wdziękiem. Chodzi ci o to, czy Charlotte nie wyjdzie za mnie dla pieniędzy.

- A nie wyjdzie?

- Na razie w ogóle nie chce za mnie wyjść - a przynajmniej tak twierdzi. Skoro tak, nie zależy jej chyba aż do tego stopnia na moich pieniądzach.

- To dobrze. Nie mam więcej pytań - zgodnie z obietnicą. - Emma uśmiechnęła się.

Rafe przytulił ją i powiedział:

- Rzadko cię ostatnio odwiedzam... - Wtem usłyszał, że Charlotte schodzi ze schodów. Odwrócił się. - Charlie, zobacz, kto przyszedł.

Charlotte wyglądała pięknie w luźnej, ciemnozielonej, wełnianej sukience. Widać było, że jest w ciąży. Uśmiechnęła się grzecznie, spodziewając się ataku ze strony matki Rafe'a.

- Dzień dobry pani - powiedziała.

- Mówmy sobie po imieniu. Jestem Emma - odparła

pani Connelly, wstawszy. Wyciągnęła ku Charlotte obie ręce. Ta ujęła jedną i przywitała się.

- Niezmiernie głupio się czuję - przyznała Charlotte.
- Chciałabym przeprosić za wszystkie kłopoty, jakie sprawiłam waszej rodzinie.

Emma popatrzyła jej w oczy.

- Wygląda na to, że mówisz szczerze. - Uśmiechnęła się. - Przyjmuję twoje przeprosiny. Nie mogę zostać długo. Przyszłam tylko zobaczyć się z wami i zaprosić was na małe przyjęcie, na czwartek.

- Na przyjęcie?!...

- To tylko rodzinne spotkanie - zgodnie z preferencjami Rafe'a. Drinki, obiad, tort, oglądanie zdjęć z dzieciństwa. Rafe kończy trzydzieści cztery lata - a rok i dwa lata temu nie było go w Chicago podczas urodzin. Smutno by mi było, gdybyśmy po raz trzeci z rzędu ich nie obesзли.

- Wiedziałem - skomentował Rafe.

- Masz trzydzieści cztery lata? - Charlie zdziwiła się ostentacyjnie. - Chyba jestem dla ciebie za młoda!... Ja mam dopiero dwadzieścia sześć.

- Co za nonsens - zaprotestował. — Kobiety dorósłają szybciej; jesteśmy teraz mniej więcej w jednym wieku.

- Cieszył się. Skoro żartowała przy jego matce, to znaczy, że już czuła się przy niej swobodnie.

Nagle zadzwonił telefon. Był to klient, który zaniepokoił się bardzo drobną usterką kupionego przez siebie programu. Rozmawiając z nim, Rafe słyszał, jak jego matka i ukochana rozmawiają ze sobą. Wciąż zwracały się do

siebie bardzo grzecznie, ale jednak dość sztywno. Kiedy Emma zaczęła delikatnie pytać Charlie o rodzinę, zakończył szybko rozmowę. Na szczęście Charlie zręcznie odwróciła temat, mówiąc o rodzinie Connellych.

- Ciekawi mnie jedna rzecz - powiedziała. - Skoro brat Rafe'a został królem Altarii - czy to znaczy, że Rafe jest księciem? .

Rafe'owi i Emmie przypomniała się rozmowa o Kopuszku.

- W Ameryce to nic nie znaczy... - odpowiedziała Emma.

- Ale w Altarii byliby traktowany jak książę?

- Oczywiście. Ale nie jest możliwe, żeby odziedziczył tron.

- Rozumiem. - Charlie wyglądała na smutną. Rafe wiedział już, o co jej chodzi i dlaczego posmutniała, gdy wspomniał o Danielu. Pomyślała, że nie należy do tej samej klasy społecznej, co jego rodzina, i nie ma szans na pełne wejście w nią. Chciał jej powiedzieć, żeby się tym nie martwiła, ale telefon zadzwonił znowu.

- Słucham - warknął.

- Czy coś się stało? - spytał Lucas Starwind.

- Nie. O co chodzi?

Detektyw miał dobre wiadomości. Nie trafił tylko z nimi w odpowiednią porę.

- Co się dzieje? - spytała Charlotte, gdy zakończyli rozmowę.

- Nic ważnego.

- Rozmawiałeś z panem Starwindem i wymieniłeś moje imię. Skoro mówiliście o czymś, co ma związek z moją sytuacją, mam prawo wiedzieć, o co chodzi.

Rafe wiedział, że nie ucieszyłyby się, gdyby wyjaśnił sprawę przy swojej matce.

- Potem ci powiem. Wracając, mam, do mojego przyjęcia urodzinowego...

- Rafe - przerwała Emma - nie powinieneś mieć przed Charlotte tajemnic, które dotyczą jej osoby,

- Dobrze. Mam pomyślną wiadomość, Charlie. Wycofano nakaz aresztowania ciebie.

Odprowadzili Emmę do drzwi. Charlotte uśmiechała się grzecznie. Było jej niedobrze. Rafe powiedział, że jest w niej zakochany!!! Przez cały czas starała się nie dać po sobie poznać, że to usłyszała. Nie była jednak chyba dobrą aktorką... Patrzyła, jak Rafe podaje matce płaszcz. Właśnie. Rodzice - a szczególnie matka - przekazali mu dobre maniery. To - i nie tylko to - różniło jego i Charlotte. Rafe nie wiedział zapewne, jak wygląda procedura odwiedzin członka rodziny w więzieniu... Czy to możliwe, żeby naprawdę ją kochał? Zastanawiała się nad tym. Niezwykle! Zawsze sądziła, że tylko jej pożądał, ewentualnie lubił ją. To cudowne, jeśli jest w niej zakochany! A może chciał tylko, żeby jego matka tak myślała? Kochał ją?...

Musiała oswoić się z tą myślą; wszystko działo się teraz zbyt szybko. Czas pokaże, co będzie czuła, co postanowi, co jest naprawdę realne.

Była pełna obaw. Gdy Rafe dowie się o niej wszystkiego, okaże się pewnie, że wcale nie kochał jej, tylko jej wymaginowany obraz. Matka słusznie martwiła się o syna... Gdyby wiedziała, że wycofany właśnie nakaz areztowania Charlotte nie był pierwszym w jej życiu, byłaby zrozpaczona.

- Co cię gryzie? - spytał.

- Nic. To miło, że twoja mama zaprosiła mnie na twoje przyjęcie urodzinowe.

- To cudowna kobieta, chociaż dzisiaj wyglądała na zdenerwowaną. Martwi się pewnie o ciebie.

- O mnie? Rafe, ja nie powinnam iść na to przyjęcie.

- Dlaczego? Jeśli uważasz, że będziesz źle się czuła...

- Uważam. Ja nie należę do waszej rodziny.

- Jesteś dość bliska, aby przyjść. Ustalmy jedną rzecz - to, że przypadkiem jestem księciem, nie może przeszkodzić nam w zawarciu małżeństwa. Mieszkamy w Stanach Zjednoczonych, jest dwudziesty pierwszy wiek i nie możemy nie pobrać się dlatego, że jestem bogaty i szlachetnie urodzony, a ty - nie. Teraz każdy może żenić się z każdym i klasy społeczne zmieszały się. Przecież byłaś świetną asystentką prezesa wielkiej korporacji - to znaczy, że radzisz sobie z bogatymi snobami.

Ucieszyła się.

- Twoja rodzina to nie snoby - powiedziała.

- Nie. Mamie wpajano w dzieciństwie królewskie maniere, ale stara się, jak może, żeby nie okazywać ich ludziom. A reszty z nas nic one nie obchodzą, jak i to, czy

ktoś jest bogaty, czy biedny. - Rafe uśmiechnął się szeroko. — Chciałbym, żebyś była na moich urodzinach; pragnę obchodzić je razem z tobą.

Serce Charlotte biło coraz szybciej.

- Nie mam w co się ubrać.
- W takim razie pojedziemy po zakupy.

scandalous

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Byłeś bardzo cierpliwy - pochwaliła Charlotte po powrocie, rzucając na kanapę dwie torby z ubraniami.

- Rzeczywiście. - Rafe opadł na purpurowy fotel, wciąż trzymając w rękach trzy kolejne torby. - Ależ ty masz kondycję! Jeszcze nie słyszałem o kobiecie, która tak by się wzbraniała przed wydawaniem pieniędzy mężczyzny. Za to, kiedy już zgodziłaś się je wydawać, kupowałaś i kupowałaś, jak gdyby to była ostatnia okazja w twoim życiu.

- Nie wiedziałam, że... Sam mnie przekonywałeś, że mogę kupić tyle rzeczy, ile tylko chcę.

- Bo mogłaś.

- Boisz się, że chodzi mi głównie o twoje pieniądze, nie o ciebie? A może próbowałeś mnie kupić? Nie zależy ci na mnie jako na osobie, tylko chcesz się ze mną ożenić ze względu na dziecko?

Przesunął dłońmi po jej bokach i oparł je tuż poniżej piersi.

- Na początku rzeczywiście wydawało mi się, że chodzi mi głównie o dziecko. Sam nie zdawałem sobie spr-

wy z tego, co czuję. Czy słyszałaś, co mówiła dzisiaj moja mama?

- Co takiego...?

- Wiesz co? Potrafisz zachowywać wszystko w tajemnicy, ale kłamać - nie umiesz. Mówię o tym, co powiedziała na temat Kopciuszka i księcia. Słyszałaś to?

Charlotte milczała. Oblizła nerwowo usta.

- Tak myślałem. Wyjaśnię ci coś. Jesteś zupełnie niepodobna z charakteru do Kopciuszka. Gdyby jakiś książę zechciał zanieść cię do swojego pałacu, zadarłabyś nosa, podziękowałabyś grzecznie i powróciłabyś do motywowania twoich brzydkich sióstr przyrodnych, żeby organizowana przez ciebie rodzinna firma zaczęła przynosić dochody. Jesteś wyjątkowo samodzielna - upierasz się przy tym. Może masz potrzebę udowadniania sobie i innym, że potrafisz. Z trudem zgadzasz się przyjąć coś, co ci dają. Myślę, że dla ciebie moje pieniądze są przeszkodą w zawarciu ze mną małżeństwa, a nie czymś, co cię zachęca.

Skąd on to wie?! - pomyślała. Skąd zna mnie aż tak dobrze?

- Nic nie powiesz? To przejdę do następnej sprawy. Czy słyszałaś także, co ja powiedziałem mamie?

Charlotte przeraziła się.

- Nie mów, tego teraz! - rzuciła, sapiąc. - Nie jestem gotowa, żeby usłyszeć to w tej chwili.

- Trudno. Chcę ci wyjaśnić, że nie chodzi mi tylko o dziecko, ale i o ciebie. Powiedzieć ci, że...

Niewiele myśląc, zaczęła go całować, żeby zasłonić mu

usta. Mimo wszystko otworzył je i także zaczął ją całować. Ścisnął ją mocniej. Zaczęło ogarniać ją pożądanie. Zdenerwowanie osłabło.

- Pozwól, że tym razem ja zajmę się tobą - powiedziała. Zaczęła zdejmować z niego koszulę. Po chwili pieściła ustami jego pierś, obojczyk, brzuch. Doznawał niezwykłych emocji. Rozpięła mu spodnie i zbliżyła się. Po raz pierwszy w życiu miała obdarzyć kogoś taką pieśczołą.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - sapnął. Skinęła głową i pieściła go dalej. To, co robiła, podniecało bardzo ją samą. Po chwili Rafe uniósł ją, pocałował w usta i zaczął szybko rozbierać, jęcząc. Całowali się i poruszali, podczas gdy narastała w nich rozkosz. Znowu osiągnęli jej szczyt niemal w tej samej sekundzie.

Oparła się o niego, wstrząsana jeszcze od czasu do czasu skurczami.

- Jeśli ci to zaraz nie przejdzie, zacznę znowu! - ostrzegł Rafe.

- Nic na to nie poradzę. Aż tak cię to podnieca?

- Tak!

Zaczerwieniła się.

- Nie rozumiem kobiet. Dlaczego teraz czerwienisz się ze wstydu, po tym, jak... - Nie dokończył zdania, żeby nie zawstydząć jej jeszcze bardziej. Zamiast tego pocałował ją w policzek. Siedzieli chwilę, przytuleni. Nagle Charlotte zachichotała.

- Telefon dzwoni i dzwoni - powiadomiła.

Coś takiego! Nigdy nie chichotała.

- Śmiejesz się. Stajesz się coraz bardziej podobna do mnie - zauważył Rafe. - Niedługo zaczniesz bałaganić. Nie wiadomo, do czego cię to doprowadzi. - Uśmiechając się, odnalazł telefon. Uruchomiła się już automatyczna sekretarka. Dzwonił Daniel Connelly - król Altarii, najstarszy brat Rafe'a.

- Dlaczego twoja sekretarka jest nastawiona na tak długie opóźnienie?! - warknął. - Nieważne. Dzwonię, żeby...

- Jestem - przerwał mu Rafe, podniósłszy słuchawkę.
- Słucham.

Charlotte patrzyła na Rafe'a. Spowaźniał, pobladł w jednej chwili, w jego oczach zaczęło malować się coraz większe przerażenie.

- Boże! - powtarzał. Na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji. - O Boże! - westchnął jeszcze raz, rozłączysz się.

- Co się stało?! - spytała Charlotte, wystraszona.

- Miałaś rację. Gang Kellych chce zdobyć program kodujący, który napisałem dla Instytutu Rosemere. Ubieraj się do wyjścia.

Posłusznie zaczęła szybko się ubierać.

- Po co im ten program? Dokąd jedziemy?

- Do mojego ojca, żeby skasować ten cholerny program z dysku.

- Zrozumiałam, że Broderton nie jest w tej chwili w stanie do niego dotrzeć.

- Nie możemy ryzykować. Nie w tej sytuacji. Stawka jest zbyt wielka.

- Jaka?

Rafe był ponury jak nigdy. Podał jej płaszcz.

- Naukowcy z Instytutu Rosemere pracują nad zmodyfikowanym genetycznie wirusem, który niszczyłby u ludzi tkankę rakową. Niechcący stworzyli po drodze innego wirusa. Takiego, który powoduje raka. Złośliwy, szybko rozrastający się nowotwór. W dodatku ten wirus bardzo łatwo zaraża i może rozprzestrzeniać się w powietrzu.

Charlotte zmroziło.

- Boże! Może służyć jako broń biologiczna...

- Bardzo groźna. Gang Kellych chce go zdobyć, a potem sprzedać temu, kto zapłaci najwięcej!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Już wcześniej Rafe pracował bardzo ciężko, ale teraz - wprost jak oszalały. Miał ku temu powody. Charlotte musiała zwalczać myśli o tym, co by się stało, gdyby straszliwy wirus dostał się w nieodpowiednie ręce. Na świecie dość jest broni biologicznej, a ta nowa była wyjątkowo groźna.

Naukowcy z Instytutu Rosemere byli odpowiedzialnymi ludźmi; sami przerazili się, gdy zorientowali się, co stworzyli. Dyrektor Instytutu natychmiast poinformował o tym poprzedniego króla - Thomasa. Ten polecił zniszczyć całą hodowlę wirusa, a także wszystkie jego opisy i dane na temat tego, jak go stworzono. Jednak dyrektor Instytutu twierdził, że i tak, jeśli ktoś uzyska dostęp do jego archiwów, będzie w stanie odtworzyć wirusa w dowolnym, odpowiednio hojnie finansowanym laboratorium. Dlatego zaszyfrowano bazę danych, posługując się napisanym przez Rafe'a programem.

Gdy powiedział ojcu o wirusie, Grant natychmiast wezwał Starwinda. Wspólnie z Danielem zdecydowali, że na razie nie będą powiadamiać amerykańskich władz. Im mniej ludzi wiedziało o istnieniu wirusa - tym lepiej. Za-i

wiadomością FBI, jeśli znajdzie podejrzenie, że gang Kellych może faktycznie przejąć dane. Daniel zwiększył środki bezpieczeństwa w Instytucie Rosemere. Śledztwo Starwinda postępowało teraz szybko naprzód. Rafe skasował program kodujący z serwera Connelly Corporation. Przechowywał go obecnie tylko na płycie. Nie mówił nikomu gdzie i nikt go o to nie pytał. Charlie także wolała nie wiedzieć.

Nie była w stanie pomagać Rafe'owi; po dwóch dniach nawet Dix nie umiał mu pomóc. Rafe prawie nie sypiał. Charlotte sprzątała, gotowała, organizowała zakupy, martwiła się o niego. Mieszkanie wyglądało teraz tak czysto, jak chyba nigdy. Nie zauważał tego nawet, myślał wyłącznie o pracy. Jedynie w nocy, kiedy w końcu przychodził do łóżka, kochali się z rozkoszą, która wynagradzała im stresy dnia. Poza tym prawie nie odzywali się do siebie.

Nie przeszkadzało jej to. Nie oczekiwała od niego wielkiej uwagi w tak krytycznej sytuacji. Zbyt wiele zależało od jego pracy. Miała nadzieję, że nie czuł się zraniony. Choć jeśli to, co powiedział matce, było prawdą - mógł czuć się zraniony.

Przyszedł Dix, w skórzanej kurtce, i czapeczce, cały ubrany na czarno. Charlotte otworzyła mu i powiedziała:

- Już nie mogę usiedzieć. Od czterech dni nie wychodziłam z mieszkania. - Cztery dni temu byli z Rafe'em w siedzibie firmy jego ojca, żeby skasować program kodujący.

- Czy zostawiłaś wiadomość Rafe'owi?
- Tak. - Powiedziała mu, że jedzie na zakupy, ale, na wszelki wypadek, napisała to jeszcze na kartce. Był całkowicie pochłonięty pracą. Mógł nie zarejestrować, co mówiła.
- Chodźmy. Ale ostrzegam - pojedę z tobą najwyżej tylko do dwóch sklepów.

Kiedy byli w trzecim sklepie, Dix zniecierpliwił się.

- Co nie podoba ci się w tym swetrze?
- Podrostu nie jest odpowiedni. Za mało osobisty.
- Jeżeli chcesz kupić mu coś osobistego, kup mu bieliznę.

Rozejrzała się. A może coś do kuchni? Ale co - kupi mu mikser? Bez sensu. Znowu zaczęła przebierać w swetrach.

- Mam dosyć - stwierdził Dix. - Najbardziej tego, że sprzedawczyni obserwuje mnie cały czas jak złodziejka.

Charlotte dobrze wiedziała, o co mu chodzi. Przed laty sprzedawcy takim samym wzrokiem patrzyli na nią.

- Chodźmy piętro wyżej, do działu elektronicznego - powiedziała. - Może jest coś, czego Rafe nie ma.
- Powiedziałaś, że nie masz zbyt wiele pieniędzy do wydania. Kup mu płytę. Lubi muzykę.

- Świetny pomysł - burknęła. - Wspaniały prezent urodzinowy dla kogoś takiego jak Rafe! Może jeszcze z tych z przeceny?

- No wiesz? Myślisz, że prawdziwa wartość prezentu jest równa jego cenie?

- Nie, ale jeśli nie znajdę nic specjalnego, chciałabym dać mu przynajmniej coś, co będzie kosztowało powyżej dwudziestu dolarów. Nie wiem, co mu kupić!... - Charlotte miała łzy w oczach.

- No niee... - Dix złapał ją za ramię. - Chodźmy do tej drogiej kawiarni na piętrze. Postawię ci specjalną herbatę, a ty powiesz mi, dlaczego się martwisz, dobrze? Podczas gdy kelnerka będzie się niepokoić, czy nie wybiegnę z kilkoma srebrnymi sztućcami.

- Przepraszam!... Bardzo rzadko płaczę.

- To dobrze. Nie lubię, kiedy kobieta się maże. Przestań płakać.

Usiedli w kawiarni. Przyniesiono im aromatyczną herbatę ziołową.

- Wypij to. Powinno cię uspokoić. - Dix skrzywił się, patrząc na swoją filiżankę.

- Dobrze. - Charlotte zaczęła sączyć herbatę.

- Rafe to dobry człowiek - zagadnął Dix.

- Tak. Jest cudowny.

- On nie myśli o tym, czy ktoś ma pieniądze, czy nie. Ale kiedy pochodzi się z naprawdę ubogiej rodziny, nie sposób o tym nie myśleć. - Popatrzył jej w oczy. - Chyba rozumiem, o co ci chodzi...

Spuściła wzrok.

- Nie wiedziałam, że wciąż to po mnie widać.

- Rzadko kiedy. Ale widziałem cię przecież jako kel-

nerkę w tamtym obskurnym barze. A kiedy cię zaczepiłem, mówiłaś językiem kulturalnej osoby, ale wiedziałaś, co powinnaś mi mówić. Wiedziałaś, jak zachować się w podobnej sytuacji. Czy zastanawiałaś się, jak to się mogło stać, że Rafe zaprzyjaźnił się z kimś takim, jak ja?

- Rzeczywiście, zastanawiałam się...

- Włamałem się kiedyś do jego systemu - kiedy byłem młodszy i dużo głupszy. Pozostawiłem mu zabawną, moim zdaniem, wiadomość - tak, jak robią chłopcy, którzy włamią się do komputerów Departamentu Obrony czy Dowództwa Strategicznych Sił Powietrznych. Odnalazł mnie tak szybko, że aż wstydy; podziękował mi za znalezienie luki w jego programie, powiedział, że mi nakopie, jeśli jeszcze raz zrobię coś podobnego. Zaczęliśmy rozmawiać. Gdyby nie on, do tej pory byłbym hakerem. A tak, jestem konsultantem. I zarabiam na tym solidnie.

- Cały Rafe. - Charlotte uśmiechnęła się. - Wścieka się, ale jest łagodny.

- Dokładnie. Nie wiem, co się między wami nie układa, i nie chcę tego wiedzieć, ale myślę, że to na pewno twoja wina.

- Dzięki! Trzymasz stronę swojego przyjaciela, co?
- Była nieco rozbawiona.

- Pewnie, ale tak poważnie - patrząc na ciebie teraz, w sklepie, wnioskuję, że chodzi, przynajmniej częściowo, o pieniądze. Rafe ma ich całe góry, a ty nie masz i nigdy nie miałaś. Ale wiedz, że on nie będzie robił z tego problemu - tylko ciebie to dręczy.

- Zgadłeś, o to też chodzi. - Westchnęła. - Ale nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

- Rafe pracuje teraz w wielkim napięciu. Nie wiem, dlaczego sprawa Kellych stała się ostatnio jeszcze o wiele ważniejsza niż przedtem; w każdym razie wasze problemy - których ty jesteś przyczyną - dodają mu jeszcze stresów. Jesteś za mądra, żeby mieć do siebie pretensje, że nie urodziłaś się bogata...

- Co za komplement!...

- Więc myślę, że chodzi o co innego. Może masz do siebie pretensje z powodu czegoś, co zrobiłaś, bo nie miałaś pieniędzy?

Charlotte zeszywniała. Celnie trafił.

- Więc będzie lepiej, jeśli po prostu mu o tym powiesz. Nawet - zwłaszcza - jeśli to coś bardzo złego. Jeżeli mu nie powiesz, będzie z wami coraz gorzej. Mam dosyć tej snobistycznej kawiarni. Chodźmy stąd.

Dix miał rację. Musiała powiedzieć Rafe'owi wszystko, i to im prędzej, tym lepiej. Postanowiła zrobić to jeszcze tego samego dnia.

Kiedy szli na stację kolejki, Dix skręcił w niewłaściwą stronę.

- Dokąd idziemy? - spytała, zdziwiona.

- Do mojego kuzyna. Mam pomysł, co możesz kupić Rafe'owi.

- Jak mogłam dać się na to namówić? - mruknęła Charlotte. - Przecież on na pewno nie chce szczeniaka,

który w kółko siusia i gryzie wszystko. Nie ma teraz czasu, żeby się nim zajmować. Chcesz pobiegać, maleńki? Już, zaraz. - Nagle przyszło jej do głowy, że jeśli Rafe przyjmie małego kundelka, zaakceptuje także ją - ze wszystkimi jej wadami. Co za myśl!

- Polubi go, nie przejmuj się. Powiedz, że ty będziesz się nim zajmować.

A jeśli Rafe nie zaakceptuje mnie, poznawszy moje tajemnice, co wtedy?! - pomyślała.

Otworzył im.

- Gdzie się podziewaliście tyle czasu? - sapnął.

- To ja spadam - rzucił Dix i pobiegł do windy.

- Tchórz! - zawołała za nim.

Gniewny wzrok Rafe'a spoczął na brudnobiałym szczeniaku z brązową łatą wokół jednego oka.

- Co to za piesek? - spytał, zdumiony.

Ależ Dix miał głupi pomysł! Była zrozpaczona.

- Masz - burknęła, wciskając szczeniaka w ręce Rafe'a. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Zamknął drzwi. Był wściekły na Charlotte już od ładnych paru dni - bo go nie kochała. Owszem, uprawiali seks, był on dla niej przyjemny. Ale nie kochała go!

Machinalnie podrapał pieska za uchem, a ten zaczął się wiercić z rozkoszy. Rafe uśmiechnął się mimo woli. Co za mała paskuda!

Praktyczna Charlie dała mu na urodziny małego kundelka? Który pewnie nie zostanie tu długo, biorąc pod

uwagę ich sytuację. Co za głupota! To zupełnie do niej nie pasowało. Obejrzał się. Charlotte udawała, że poprawia poduszki, choć w mieszkaniu panował już idealny porządek.

Czyżby miała łzy w oczach?

- Bałem się o ciebie! - zawołał nagle.

Nie patrzyła na niego.

- Przecież powiedziałam, że jadę po zakupy. Zostawiłam ci kartkę.

- Rzeczywiście... Dzwoniła Elena Connelly - dawniej z zawodu detektyw. Informuje nas o działaniach policji.

- I co?

- Wiesz, że policja podejrzewa, że próbował cię zabić Rocky Palermo?

- Wiem.

- A teraz informator powiedział im, że po niepowodzeniu Palermo zatrudnili zawodowego mordercę, spoza swojego gangu. Podobno znanego i bardzo groźnego.

Charlotte znieruchomiała.

- Naprawdę? I ten człowiek szuka mnie, żeby mnie zabić?

- Tak. Dlaczego ani ty, ani Dix nie wzięliście telefonów komórkowych?

- Nie pomyślałam o tym... On pewnie też nie.

Tymczasem mały różowy jęczyzek polizał Rafe'a w dłoni. Spojrzał i pogłaskał szczeniaka po łapce. Wyglądał dziwnie. Zapowiadał się na dużego psa.

- Łapa. Nazwę go Łapa. - Rafe podrapał Łapę za uchem. Nie rozumiał Charlotte: nie kochała go, a dała mu szczeniaka na urodziny.

- Dziękuję ci za prezent.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Dix kupił psiej karmy. Powiedział, że to jego prezent. Westchnął.

- Musimy porozmawiać, ale nie w tej chwili. Zamknij pieska w kuchni i podłóż mu jakieś gazety.

- Dobrze. - Posmutniała. - Nie martw się, będę się nim zajmować. To był głupi pomysł. Przepraszam cię. Nie wiedziałam, co ci...

- Cśś. To świetny szczeniak, tylko chwilowo nie mam czasu się z nim zaprzyjaźnić. Powinienem już dawno wyjść, ale... - Czekał, aż Charlotte wróci. Bał się, czy jest cała i zdrowa.

- Dokąd idziesz?

- Skończyłem program. Pojadę zainstalować go na serwerze firmy taty.

Zainstalował program i wrócił do domu, zmęczony. Język komputerowy mieszał mu się w głowie z myślami o Charlotte. Nie rozumiał jej. Czekała na niego wraz z Łapą. Wariatka, pomyślał Rafe. Sam jestem wariatem, że tak za nią szaleję.

Wyjął pocztę ze skrzynki i obejrzał w windzie, co przyszło. Jego wzrok spoczął na kopercie zaadresowanej do Charlotte Masters. Nadawcą był... Brad Fowler, z więzienia Deer Lodge w Bridleton, w stanie Connecticut!

Rafe wpadł w furję. Nie mógł oderwać wzroku od nazwiska i adresu nadawcy. Czuł zazdrość i ból. Musiał się z nią natychmiast rozmówić!

Kiedy Rafe wrócił, Charlotte gotowała zupę.

- Jestem w kuchni! I jak program? - zagadnęła.

Stanął w progu, z wyrazem wyczerpania na twarzy, a potem zbliżył się i wściekle rzucił list na blat. List od Brada! Zrozumiała, że nadszedł czas na decydującą rozmowę.

- Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego do tej pory ci o nim nie powiedziałam... - zaczęła.

- Zgadłaś! - Oczy Rafe'a ciskały błyskawice. Wystraszyła się go. - Czy to przez tego faceta współpracowałeś z gangiem Kellych?

- Tak. Widzisz...

- Wiedziałem! Kiedy zobaczyłem ten plik listów, związanych wstążką... Nosisz w sobie moje dziecko, sy-piasz ze mną, a korespondujesz z innym mężczyzną?! Z przestępcą! Jak mogłaś dać mu mój adres?!

- To mój brat.

- Co takiego?

- Ten Brad Fowler - to mój brat.

- Przecież nie masz brata!...

- Skłamałam, wypełniając dokumenty w firmie.

Rafe odwrócił się i ruszył przed kominek, Charlotte za nim. Usiadł na kanapie, pocierając dłońmi napuchniętą twarz. Stała nad nim.

- Dlaczego nazywa się Fowler, a nie Masters? - zapytał.

- Moi rodzice pobrali się dopiero przed jego urodzeniem, kiedy ja miałam już trzy lata. Brad nosi nazwisko mojego ojca, a ja - matki.

- Rozumiem. I twój brat jest w gangu Kellych, tak? Poprosili cię o małą przysługę.

- Nie. Boże, co ty mówisz! Przyszli mi koniec jego małego palca. - Rafe drgnął i popatrzył na nią w przerażeniu. - Znalazłam go w skrzynce pocztowej, tego samego wieczora, kiedy zaczepił mnie ich człowiek.

- Przepraszam cię! Przepraszam, że oskarżyłem cię... Ale nie rozumiem. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz brata? Czemu zrobiłaś z tego tajemnicę?

- Bo nie tylko w tej sprawie skłamałam.

Pokręcił głową.

- Po śmierci rodziców - zginęli w wypadku, kiedy miałam siedemnaście lat, tak jak napisałam - przekonałam sąd, żeby przyznał mi prawo do opieki nad Bradem. Jest o trzy lata młodszy ode mnie. Źle zrobiłam. Nie potrafiłam go ustrzec przed zejściem na złą drogę. Robił coraz gorsze rzeczy. W końcu, kiedy miał dziewiętnaście lat, aresztowano go za sprzedawanie narkotyków.

Rafe milczał.

- Mnie także raz aresztowano.

- Wiem. Za pomoc ojcu przy prowadzeniu nielegalnej jaskini hazardu. Wycofano oskarżenie, bo nie byłaś jeszcze dorosła, a ojciec zeznał, że kazał ci to robić.

Charlotte była zaszokowana. Skąd Rafe o tym wiedział?! Wiedział!!!

Gdy milczała dłuższą chwilę, otworzył szerzej oczy i spytał:

- Jak to? To wszystko? Czy to była ta twoja wielka, straszna tajemnica?... O Jezu! - Opadł na oparcie kanapy i wyprostował nogi. - Kobieto! A ja cały czas czekałem, aż powiesz mi o sobie coś strasznego - że byłaś oszustką, planowałaś z kimś napady z bronią w ręku albo coś w tym rodzaju.

- Skąd wiedziałeś, że mnie aresztowano i za co?

- Kiedy się ukryłaś, wyszukałem na twój temat trochę informacji. Tylko proszę, nie miej mi tego za złe, bo było to konieczne, żebym mógł cię znaleźć. To dzięki temu wykryłem, gdzie posłużyłaś się numerem polisy ubezpieczeniowej twojej matki.

- Kartoteki młodocianych przestępców są tajne. Skoro do nich dotarłeś, dlaczego nie wiedziałeś o moim bracie?

- Nie było tam napisane, że masz brata. Nie do wiary! Zachowywałaś się tak, że brałem cię za jakąś straszną przestępczynię. A ty nie byłaś w stanie powiedzieć mi, że masz brata i że w wieku szesnastu lat miałaś drobne kłopoty z policją!

- Nie takie znowu drobne. A ojciec...

- Został skazany na kilka miesięcy więzienia. Usiądź. Szyja już mnie boli od patrzenia w górę.

Charlotte była zdumiona, jak łatwo Rafe zaakceptował jej niechlubną przeszłość. Przysiadła na skraju kanapy.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Leżeli teraz oboje. Jednak wciąż nie była w stanie się rozluźnić.

- Opowiedz mi o swoim ojcu - poprosił. - Dlaczego urządził nielegalną jaskinię hazardu? Czy zawsze miał przestępcze skłonności?

- Nie. Po prostu miał w sobie ducha wędrowca. Nigdzie nie potrafił zagrzać miejsca - wciąż zmieniał pracę i przeprowadzał nas, bo był przywiązany do rodziny. Jeździliśmy więc po kraju. Kiedy miałam dwanaście lat, zdążyłam mieszkać już w siedemnastu miastach. Tata lubił duże miasta.

- Dobrze, że przynajmniej zabierał was ze sobą. Musiał was kochać.

- Tak. - Byli kochającą się rodziną. Śmierć rodziców była dla niej i Brada straszliwym ciosem. Ale jednocześnie miała pretensje do rodziców, że tak wozili ich z Bradem po kraju. Ani ojciec, ani matka nigdy tak naprawdę nie dorośli. - Rodzice ciągle naiwnie wierzyli, że tata zarobi gdzieś naprawdę wielkie pieniądze. W końcu, kiedy miałam dwanaście lat, po raz pierwszy popełnił przestępstwo - ukradł pieniądze swojemu pracodawcy, żebyśmy mieli z Bradem wspaniałe święta. I mieliśmy - piękna choinka, mnóstwo prezentów. Został wyrzucony z pracy i pobity przez znajomych pracodawcy, ludzi z półświatka. Kiedy wydobrzezał, przeprowadziliśmy się po raz kolejny. Imał się potem znowu najróżniejszych ucziwych prac. Tylko raz znowu zszedł na drogę przestępstwa - wtedy, kiedy zorganizował nielegalną jaskinię gry. Ale zaraz go złapali. Nie

był dość sprytny. Jedyne, co szło mu dobrze, to kłamanie w kolejnych życiorysach, które składał.

- Na dłuższą metę to się nawet nie opłaca.

- Ale pisząc życiorys dla Connelly Corporation, poszłam za jego przykładem. Zmyśliłam większość mojej kariery zawodowej.

- Hmm. Tata musi starannie kontrolować nowo przyjmowany personel. Jak to się stało, że gang Kellych nie zagraża już twojemu bratu?

- Po tym, jak do mnie strzelano, stwierdziłam, że ich banda nie dotrzymuje umowy. Równie dobrze mogli obciąć Bradowi drugi palec albo zabić go - żeby mnie nastraszyć. Sama także nie chciałam umierać. Zawarłam więc ugodę z porucznikiem Johnsonem. Zgodziłam się zeznawać, a on w zamian użył swoich kontaktów i Brad został potajemnie przewieziony do innego więzienia, pod zmienionym nazwiskiem. W dokumentach ciągle figuruje jako więzień Deer Lodge. Naczelnik przekazuje listy do niego pod właściwy adres.

Charlotte skończyła mówić. Dziwnie się czuła. Nie kryła już niczego przed Rafe'em. A on - milczał. Wcale nie był zaszokowany. Tyle o niej wiedział i nie wspomniał jej o tym. Czy naprawdę poruszone przez nią sprawy miały dla niego tak niewielkie znaczenie? Za to zraniła go tym, że obawiała się powiedzieć mu prawdę o sobie.

- Zawsze onieśmiałała mnie twoja rodzina - odezwała się znowu. - Pieniądze także, ale przede wszystkim to, jacy jesteście silni, jacy uczciwi, zżyci. - Popatrzyła na

Rafe'a i uśmiechnęła się. Spał smacznie. Postanowiła nie kłaść się, tylko czuwać przy komputerach, na wypadek, gdyby program Rafe'a wykrył włamanie Brodertona.

W odległości osiemnastu przecznic od mieszkania Rafe'a Edwin Tefeller spakował swój ulubiony tłumik do specjalnej walizeczki, w której znajdował się już jego SIG Sauer. Cieszył się, że instynkt nie zawiódł go. Brat pani Masters naprowadził go na nią znowu - więzień, który zajmował się pocztą naczelnika, przekazał Edwinowi adres nadawcy listu do Brada Fowlera.

Dotąd wydawała się niezależną osobą, a jednak zatrzymała się u kochanka. Kobietami kieruje ich biologia, myślał Tefeller. Lubią zależeć od mężczyzny, zwłaszcza tego, z którym zaszły w ciążę.

Od trzech dni obserwował apartament Rafe'a Connelly'ego, zbierając o nim informacje. Charlotte nie wychodziła - poza dzisiejszym dniem. Trzy razy Edwin był bliiski strzału, ale zawsze któryś z klientów zasłaniał mu ją. Gdy wyszli z ostatniego sklepu, nie miał już dobrych okazji. Nie chciał strzelać w metrze - było to ryzykowne.

Wycierał ręcznikiem miejsca, których mógł dotknąć w pokoju. Wątpił, żeby policja szukała odcisków palców akurat tutaj, ale właśnie dlatego był jednym z najlepszych, że na wszelki wypadek dbał o wszystko.

Gdyby miał więcej czasu, wynająłby pomieszczenie w biurowcu naprzeciw apartamentu młodego Connelly'ego i poczekał na okazję do strzału. Okna były duże,

Edwin był strzelcem wyborowym. Trudno byłoby tylko sprawić, żeby ktoś zechciał opuścić akurat odpowiednie mieszkanie. W każdym razie Franklin Kelly naciskał, żeby zlecenie wykonać jak najszybciej.

Tefteller lubił zabijać ofiary w ich własnych domach. Nadarzała się okazja. Świetnie umiał radzić sobie z zamkami. Nie spodziewał się kłopotów ze strony Rafe'a. Był informatykiem, a nie mistrzem kung-fu. Oczywiście, był o piętnaście lat młodszy od Edwina, silny i wysportowany - latał nawet na lotni. Tefteller uważał uprawianie sportów ekstremalnych za przejaw głupoty, ale także dowód wysokiej sprawności fizycznej, refleksu i skłonności do podejmowania ryzyka. Nie miał zamiaru nie doceniać Rafe'a Connelly'ego.

Po raz ostatni wyszedł z pokoju w tym hotelu. Nie da Rafe'owi czasu na podjęcie ryzyka. Zastrzeli go na samym początku. Potem - panią Masters.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Obudź się! Alarm się odezwał. Broderton włamuje się do serwera!

Rafe zerwał się i wbiegł po schodach na górę.

- Powiadom Starwinda! - zawołał. Po chwili rzucił:
- Mam go! Włamuję się do ich komputera. Ściągam dane.

Broderton wyłączył się około trzeciej w nocy. Rafe, Charlotte i Starwind nie wiedzieli o tym. Siedzieli w tym czasie w jednym z magazynów Connelly Corporation, w południowej części miasta, razem z Grantem Connellym. Grant chodził z przenośnym skanerem.

- To ta skrzynia - powiedział. Starwind otworzył ją łomem. Kod kreskowy skrzyni odpowiadał temu, jaki Rafe znalazł w jednym z plików ściągniętych z systemu komputerowego gangu Kellych. Mężczyźni zaczęli rozrywać pudełka z drogimi koronkami, importowanymi z Altarii. Według danych z komputera Kellych pomiędzy koronkami znajdowało się coś jeszcze.

- Jest. - Rafe wyjął miękki pokrowiec na płyty kompaktowe. Zawierał pięć nieoznakowanych płyt. - Sprawdzę, czy to to. - Miał ze sobą laptopa z załadowanym

programem kodującym,,który napisał dla Instytutu Rosemere. Włożył do środka pierwszą z płyt. Dane były zakodowane. Rozkodował je. - To jest to. Nic nie rozumiem, ale treścią płyty jest opis kodów DNA. - Podał płyty Starwindowi. - Przydadzą się jako dowody.

Nie zamierzali mówić policji o tym, co zawierają płyty, ani o programie kodującym. Rafe kasował go właśnie w laptopie. Płyty były dowodem przemytu, dla którego dokonania gang zamordował człowieka.

- Nie jestem przekonany, czy należy zostawiać te płyty policji - odezwał się Grant. - Jak powiedziałaś, każdy kod da się złamać...

- W końcu, tak. Ale ten kod jest ogromnie skomplikowany. A pięć płyt może zawierać zaledwie ułamek informacji potrzebnych do wytworzenia wirusa. Badania genetyczne wiążą się z wytwarzaniem olbrzymiej ilości danych. Gang Kellych przemycał je na płytach od dłuższego czasu - przechwyciliśmy jedynie ich mały fragment.

- Te płyty na pewno pomogą nam w procesie przeciwko Kellym - zgodził się Starwind.

- Zadzwoń tato, do sędziego, żeby policja jak najszybciej skonfiskowała ich serwer. Tylko niech wyda nakaz bez rozgłosu.

- Zobaczę, co da się zrobić.

Grant odwiózł Rafe'a i Charlotte do domu. Rafe spał po drodze, a Charlotte - myślała. Czy po aresztowaniu Kellych odwołają tego zawodowego mordercę? Czy tym

bardziej uwezmą się, żeby ją zabić - z zemsty? Czy postanowią zemścić się także na Rafe?

Wysiedli, pożegnali się z Grantem. Podeszli do drzwi apartamentowca.

- Mamy sporo do omówienia - odezwał się Rafe. - Ale na razie jestem tak niewyspany, że chyba się przewrócę.

- Możemy porozmawiać później.

Była z niego dumna. Powstrzymał Kellych i doprowadził do ich aresztowania. Musi znaleźć się sposób na uchronienie go przed ich zemstą.

Weszli do mieszkania.

- Dobrze, że zostawiliśmy zapalone światło - odezwała się - bo o mało nie nadepnęłam na Łapę. Jakim cudem wydostał się z kuchni?

- To moja wina - wyjaśnił jakiś nieznany głos. Z kuchni wyłonił się drobny mężczyzna w okularach. Uśmiechając się sympatycznie, wycelował w Rafe'a z pistoletu z tłumikiem. Nagle potknął się o coś. Rozległ się pisk Łapy i dziwny odgłos, jakby splunięcia. W tym czasie Rafe skoczył na mordercę i po chwili ściął go z nóg. Złapał za trzymany przez niego pistolet. Szarpali się na podłodze. Znow rozległo się splunięcie. Boże, to zabójca strzelał!

- Cofnij się! - krzyknął Rafe do Charlotte. Odbiegła na bok i rozejrzała się za jakąkolwiek bronią. Nie widziała niczego, co mogłoby za nią posłużyć. Zbyt dokładnie posprzątała.

Rafe pokonał jednak mordercę. Siedział mu na piersi i przyciskał jego ręce do podłogi, za nadgarstki. Zdażył uderzyć go parokrotnie.

- Zabierz jego pistolet! - zawołał. Zabójca wciąż nie wypuszczał broni z unieruchomionej ręki. Charlie doskoczyła i wyszarpała mu SIG Sauera. Przystawiła mu tłumik do skroni.

- Spust jest bardzo czuły! - jęknął bandyta.

- W takim razie nie ruszaj się. Ręce mi drżą i najmniejszy ruch może wystraszyć mnie na tyle, że cię zabiję.

Ku jej zaskoczeniu, elegancko wyglądający morderca nawet nie próbował się ruszyć.

Przyjechała policja. Skuli płatnego zabójcę i odczytali mu jego prawa. Potem zaczęli zadawać Charlotte pytania. Przyjechali inni - w tym porucznik Johnson - i przesłuchiwali ją znowu. Schwytany morderca mamrotał tylko pod nosem coś o szczeniakach i planowaniu. Wyglądał na oszołomionego, kiedy go wyprowadzali.

Wcale nie drżały jej ręce - aż do czasu, kiedy Johnson powiedział, że będą musieli pojechać na posterunek, żeby dokończyć tam spisywanie zeznań. Wówczas Charlotte zaczęła dygotać.

- Ona nigdzie nie pojedzie - oświadczył Rafe, objął ją i ignorował złość porucznika. W końcu Johnson ustąpił. Policja opuściła apartament.

- Kocham cię - powiedziała Charlotte.

Rafe otworzył szeroko oczy.

- Słucham? Ty mnie kochasz?
- Oczywiście! Hej, zwariowałaś?

Podniósł ją i obrócił się w kółko, trzymając ją wysoko.

- Tak, szaleję za tobą. Kocham cię, Charlie!
- Nie pozwoliłam ci powiedzieć mi tego wcześniej, bo bałam się, że nie kochasz mnie, tylko taką Charlie, jaką sobie wyobrażasz. Nie wiedziałeś o mnie tylu rzeczy. A właściwie - myślałam, że nie wiesz.
- Ale kocham ciebie! I skoro ty też mnie kochasz - możemy się pobrać!

Ślub odbył się nazajutrz po Święcie Dziękczynienia. Panna młoda miała na sobie niebieską, krótką wschodnią suknię, która nie kryła wypukłości jej brzucha. Pan młody wybrał tradycyjny smoking.

Kiedy Charlotte i Rafe rozpoczęli weselne tańce, orkiestra zagrała „Blue Hawaii”. Na dworze leżała ośmiocentymetrowa warstwa śniegu, ale w sali balowej było gorąco.

- Ładnie byś wyglądał w przepasce z trawy - powiedziała Charlotte.

Pocałował ją, długim, przeciągłym pocałunkiem. Teraz byli złączeni w jedno przez Boga i ludzi. I cieszyli się tym oboje!